

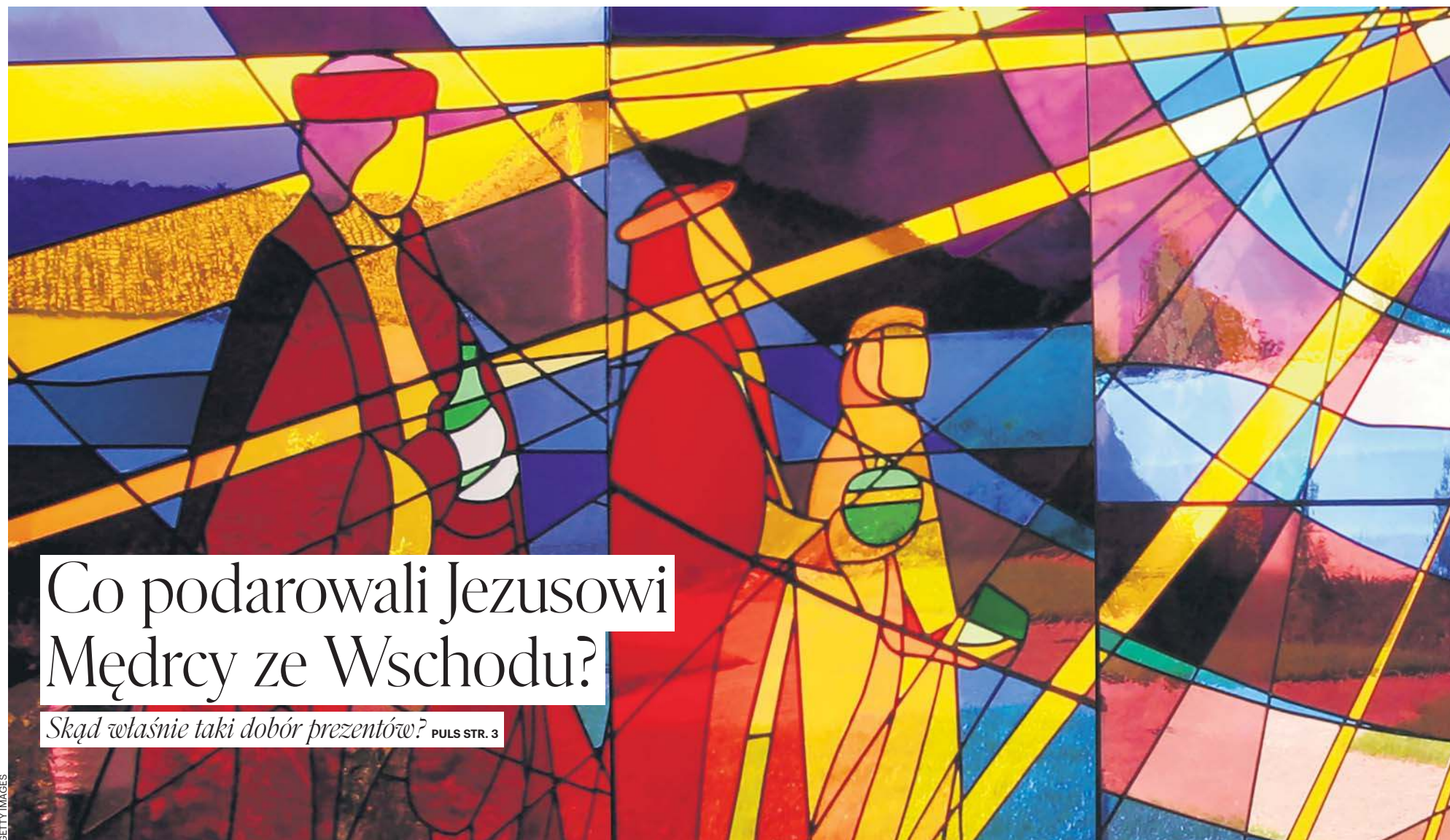


Święto Trzech Króli

GŁOS

DZIENNIK POMORZA

POMORZA



Co podarowali Jezusowi Mędrcy ze Wschodu?

Skąd właściwie taki dobór prezentów? **PULS STR. 3**

GETTY IMAGES

Ostatni autobus z fabryki Scanii

Zakład szwedzkiego koncernu w Słupsku
kończy produkcję **STR. 3**

Areszt dla podejrzanej o zabójstwo

Kobiecie, która pchnęła nożem swojego partnera,
grozi dożywocie **STR. 3**

Zamiast podwórka jest rozlewisko

Mieszkańcy muszą się uzbroić w cierpliwość.
Remont najwcześniej za rok **STR. 4**

W magazynie **Puls**:

● Antony Beevor: Rosja
za największych swoich wrogów
uważa Polskę, Stany Zjednoczone
i Wielką Brytanię

plus dzisiaj **TeleMagazyn**

REKLAMA

0010981451

Piotr Michalski
mistrz Europy
w łyżwiarstwie szybkim



Graj w punktach LOTTO i na

lotto.pl

Czy wiesz, jaki jest
ULUBIONY
SPORT POLAKÓW?



TYDZIEŃ Z NASZĄ GAZETĄ

PONIEDZIAŁEK

● Sportowy24: Pełno emocji zimowych i na parkietach

WTOREK

● Strefa Biznesu: Czytaj o tym co w gospodarce

ŚRODA

● Strona Zdrowia: Cała prawda o żółtych serach

CZWARTEK

● Pod paragrafem: Kim był ten, co skracał o głowę?

PIĄTEK

● Puls i Tygodnik Regionów. Teksty ze znakiem jakości

SOBOTA

● Pomorze skrywa niesamowite historie - opisujemy je

ZAMÓW PRENUMERATĘ: tel. 94 340 11 14, mail prenumerata.gdp@polskapress.pl, na stronie prenumerata.gp24.pl

Nauczanie Kościoła w każdym kraju musi pozostać spójne. Tego wymagają te czasy

Magdalena Gronek
Rozmowa

Z abp. Stanisławem Gądeckim, przewodniczącym Konferencji Episkopatu Polski.

Co chrześcijaństwo zaoferowało światu?

Poprzez narodzenie Chrystusa chrześcijaństwo przede wszystkim przyniosło nadzieję życia, prawdę o zmartwychwstaniu. Tym samym odmieniło bieg historii, nadało głębooki sens ludzkiej egzystencji. Wskazało na Boga jako tego, który przez wcielenie Jezusa, jest blisko każdego człowieka, w jego codzienności, problemach, wyzwaniach, radościach. Bezinteresowna miłość Boga do człowieka stała się punktem odniesienia wszelkich działań. Chrześcijaństwo to religia, która w centrum stawia człowieka i jego dobro. Jest ono fundamentem cywilizacji europejskiej, podstawą naszej tożsamości. Dlatego nie sposób odciąć się od chrześcijańskich wartości, które w wielu aspektach są uniwersalne, również w życiu społecznym i kulturalnym.

Obecnie obserwujemy nierazko - nie tylko w Europie, ale także w Polsce - odejście od wartości chrześcijańskich poprzez odejście ludzi od wiary, ale także wprowadzanie konkretnego ustawodawstwa.

Tak, jak wspominałem: wartości chrześcijańskie są nierozłącznie związane z naszą cywilizacją i historią, stanowią uniwersalną aksjologię. Ich celem jest przede wszystkim szczęście każdego człowieka, otwartość, budowanie zgody i porozumienia, ochrona życia, wprowadzanie pokoju. Odwracając się od nich, społeczeństwa ryzykują przesiąknięcie relatywizmem moralnym. Dzieje Europy i świata pokazują, że tam, gdzie miejsce Boga zajmował człowiek, a system wartości chrześcijańskich był negowany, dochodziło do ludzkich dramatów, pojawiały się wrogi i niszczące totalitaryzmy.

Jak pozostać chrześcijaninem w świecie, który odrzuca Chrystusa, niczym Herod, który



FOT. ADAM JANKOWSKI / POLSKA PRESS

Abp Stanisław Gądecki: - Każdy człowiek powinien żyć z godnością i być traktowany godnie

z powodu narodzin Zbawiciela urządził rzeź dzieci?

Dla dojrzałego człowieka wiara jest kwestią wyboru, decyzji, wynikającej z doświadczenia relacji z Jezusem. Aby ją budować, nieodwołalne jest świadome uczestnictwo w życiu Kościoła, korzystanie z sakramentów. Istotną kwestią jest stała formacja i rozwój duchowy. Pomagają w tym wspólnoty i ruchy katolickie. Bez osobistego przeżywania wiary, obecności Boga, także w historii naszego życia, trudno jest oprzeć się ideologiom narzucanym przez współczesność. Szczególnie gdy funkcjonujemy w środowisku, które neguje Boga. Pomocne może być wyznanie św. Piotra: „Panie, do kogoż pójdziemy? Ty masz słowa życia wiecznego. A myśmy uwierzyli i poznali, że Ty jesteś Świętym Bogiem”.

Jak przyjąć od Nowonarodzonego Jezusa pokój, który On przynosi, żyjąc w coraz trudniejszej sytuacji na świecie? Wojna zawsze jest złem i zbrodnią przeciwko człowiekowi. Obecna sytuacja w świecie wywołuje niepokój. Kościół w tym trudnym czasie jeszcze mocniej głosi potrzebę przebaczenia i pojednania. Konieczne jest porzucenie nienawiści i uprzedzeń, poszukiwanie dialogu, jako środka rozwiązywania najtrudniejszych kwestii. Agresja nigdy nie będzie skutecznym sposobem rozwiązywania konfliktów zarówno w małych społecznościach, jak i w skali globalnej. Jako wierzący wiemy, że to Bóg jest stanowiącym o losach świata, dla-

tego tym bardziej zwracamy się ku niemu, prosząc o pokój i nawrócenie dla tych, którzy wprowadzają nienawiść i wywołują wojny.

Na mocy sakramentu chrztu świętego stajemy się częścią Kościoła, a więc także za niego odpowiedzialni. W czym ta odpowiedzialność powinna się wyrażać? Co mogą zrobić ludzie świeccy?

Mówiąc o odpowiedzialności za Kościół, musimy przede wszystkim zwrócić uwagę na nasze osobiste życie duchowe i jego rozwój. To jest nasze pierwsze i podstawowe wyzwanie. Z dojrzałej wiary wynika zaangażowanie w życie parafii, wspólnoty i Kościoła. Dziś na pewno potrzeba osób, rodzin, ludzi młodych, którzy swoim codziennym życiem, dokonywanymi wyborami i decyzjami, dają chrześcijańskie świadectwo wiary. Ważne, by być zaangażowanym, nie alienować się, nie stać z boku, ale uczestniczyć we wspólnocie Kościoła i wnosić do niej swój wkład. Każdy ma swoje miejsce w Kościele, który jest otwarty i chce dzielić się doświadczeniem miłości Boga do człowieka.

Co jest dziś największym wyzwaniem, które stoi przed Kościołem w naszej ojczyźnie?

Ważną kwestią jest duszpasterstwo ludzi młodych. W tej sprawie szukamy różnych rozwiązań, jest to wyzwanie, przed którym staje nie tylko Kościół w Polsce. Głoszenie Ewangelii musi być przystosowane do współczesnych realiów, odpowiadać na potrzeby społeczne. Konieczne jest korzystanie z nowych form komunikacji i technologii. Dostrzegamy potrzebę ponownej ewangelizacji osób i środowisk, które są na marginesie Kościoła lub zaprzestały udziału w życiu jego wspólnoty. Istotą jest otwartość na dialog i poszukiwanie odpowiedzi na pytania, które stawia sobie społeczeństwo. Kościół chce być blisko ludzi, oferuje różnorodne przestrzenie formacji i rozwoju duchowego. Wyzwaniem jest to, by docierać do osób poszukujących z prawdziwym obrazem Kościoła i tego, co może on dać człowiekowi. ©©

KALENDARIUM

5 STYCZNIA POMORZE

1939
Adolf Hitler przyjął ministra spraw zagranicznych Józefa Becka w swojej alpejskiej rezydencji w Berchtesgaden. Na spotkaniu szef polskiej dyplomacji po raz pierwszy słyszy o postulatach włączenia Wolnego Miasta Gdańska do III Rzeszy i zbudowania eksterytorialnej autostrady i linii kolejowej, łączących Prusy Wschodnie z zachodnią częścią Niemiec. W zamian Polska miała otrzymać port w Gdańsku, wraz z eksterytorialnym szlakiem komunikacyjnym wiodącym przez niemiecką część miasta oraz gwarancje nienaruszalności swoich granic. Podczas spotkania nie doszło jednak do żadnych konkretnych ustaleń.

1944
W nocy z 5 na 6 stycznia 358 bombowców RAF przeprowadziło nalot na niemiecki wówczas Szczecin. Łącznie alianci przeprowadzili sześć nalotów na miasto - od kwietnia 1943 do sierpnia 1944 r. Zniszczona została zabudowa cywilna miasta w blisko 70 procentach, a infrastruktura portowa ucierpiała w około 80 proc., uległo zniszczeniu także 90 proc. obiektów przemysłowych.

POLSKA

1965
Premiera pierwszego polskiego serialu telewizyjnego „Barbara i Jan” w reżyserii Hieronima Przybyły i Jerzego Ziarnika. To serial komediowo-sensacyjny, opowiada o przygodach początkującej dziennikarki i doświadczonego fotoreportera fikcyjnej warszawskiej gazety „Echo”. W te role wcielili się Janina Traczykówna i Jan Kobuszewski.

ŚWIAT

1769
James Watt opatentował maszynę parową z oddzielną komorą skraplania, ulepszając w ten sposób i zwiększając wydajność silnika parowego Thomasa Newcomena. To wydarzenie zapoczątkowało rewolucję przemysłową. Pamiętamy je do dziś, bo na potrzeby określania mocy silników Watt zdefiniował nową jednostkę - koń mechaniczny, która jest do dziś używana w motoryzacji.

ŁACINA NA CO DZIEŃ

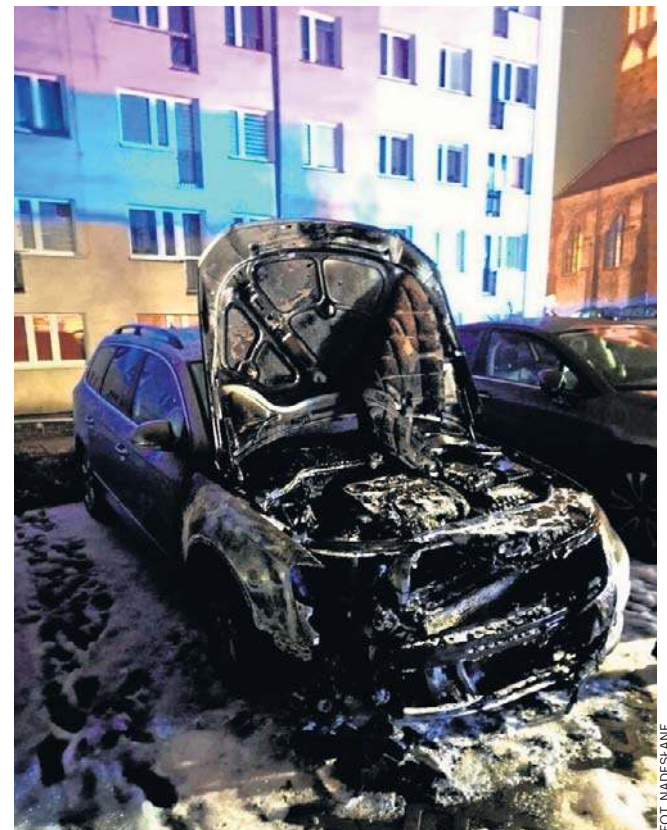
Quidquid agis,
prudenter agas
et respice finem

*Cokolwiek czynisz, mądrze czyn
i patrz końca*

Publius Ovidius Naso (Owidiusz)

GRAFIKA: COFFEYORL

ZDJĘCIE TYGODNIA



FOT. NADESŁANE

W Sławnie w nocy z wtorku na środę spłonęły dwa auta, a dwa kolejne są nadpalone.
- Na parking przy ulicy Basztowej płonęły dwa auta. Jeden marki Opel, a drugi - Volkswagen. W wyniku tego nadpalili się dwa inne samochody, które były zaparkowane w pobliżu - wyliczał st. kpt. Damian Tomczyk, oficer prasowy powiatowego komendanta Państwowej Straży Pożarnej w Sławnie. Strażak mówił też, że z ogniem walczyły dwa zastępy PSP Sławno.

nasz REGION

REGION

Wczoraj od rana na drogach regionu panowały bardzo złe warunki atmosferyczne. Do południa doszło do jednego wypadku oraz ośmiu kolizji. W tych ostatnich zdarzeniach kierujący i pasażerowie nie odnieśli obrażeń, ale kolizje były niebezpieczne. M.in. między Redzikowem a Słupskiem samochód wypadł z jezdni i przewrócił się na bok. Auto nie nadaje się do dalszej jazdy. **BER**



DYŻURNY GŁOSU
Magdalena Olechnowicz
tel. 510 026 923
Na naszych Czytelników czekamy w redakcji „Głosu Pomorza” przy ul. Henryka Pobożnego 19 oraz pod adresem: alarm@gp24.pl

Ostatni autobus Scanii opuścił fabrykę w Słupsku

Wojciech Lesner
Słupsk

W fabryce Scania Production Słupsk został zmontowany ostatni autobus. Zgodnie z zapowiedziami, szwedzka firma wygasza działalność w zakładzie przy ul. Grunwaldzkiej.

Licznik zmontowanych autobusów w słupskiej fabryce Scanii - od chwili uruchomienia produkcji takich pojazdów w tym zakładzie w 2002 roku - zatrzymał się na liczbie 10 413. Zmontowany w grudniu w fabryce przy ul. Grunwaldzkiej ostatni autobus na dniach wyjedzie do klienta. Spółka planuje zamknąć działalność w Słupsku w pierwszej połowie 2024 roku - to pokłosie decyzji podjętej przez szwedzki koncern jeszcze w maju 2023 r.

Plan zamknięcia produkcji autobusów w Słupsku tłumaczono wówczas względami ekonomicznymi: „Decyzja motywowana jest negatywnymi zmianami na globalnym rynku w segmencie autobusów. Przekłada się to na spadek liczby zamówień na nowe autobusy i powoduje trwałą utratę rentowności tego segmentu. Segment autobusów mocno odczuł negatywne skutki pandemii koronawirusa, i choć sytuacja na rynku stopniowo się normuje, tempo odbudowy jest niewystarczające. Ponadto, planowane wdrożenie zmian w przepisach prawa dotyczących autobusów wymaga znacznych inwestycji w nowe technologie, zarówno teraz, jak i w przyszłości” - wyjaśniała Scania.

W związku z zamknięciem fabryki w Słupsku, pracę stracić ma łącznie blisko 900 osób.



Fabryka Scania Production Słupsk powstała w 1993 roku. Od 2002 r. produkowano w niej tylko autobusy

Pierwsze rozstania z pracownikami nastąpiły już w październiku, ale większość zwolnień zaplanowano na pierwszą połowę bieżącego roku. Zatrudnieni zawarli z pracodawcą po-

rozumienia, na mocy których otrzymać mają odprawy i dofinansowania do szkoleń, czy pokrycie kosztów relokacji. Scania zadeklarowała również pomoc odchodzącym pracownikom w znalezieniu zatrudnienia. Jesienią spółka zorganizowała w Słupsku targi pracy, gdzie swoją ofertę przedstawiło blisko 50 firm. Otwarcie na przyjęcie pracowników ze Scanii są chociażby takie firmy, jak Markos, Pomorzanka, ale również PKS Słupsk.

Mimo trwającego procesu wygaszania działalności fabryki autobusów w Słupsku, spółka poinformowała w mediach społecznościowych, że 2023 rok był dla niej rekordowy pod względem wyników.

- Wyniki produkcji i jakości w 2023 roku były najlepsze w historii spółki. W tym roku po raz pierwszy w historii koncernu w słupskiej fabryce powstał prototyp autobusu. Ma to ogromne znaczenie dla przyszłości Scania Production Słupsk, która zostaje przy produkcji podwozi, bo pozwoli to

na rozwój nowego, elektrycznego podwozia, a jak wiadomo, elektromobilność jest obecnym światowym trendem - napisała Scania Production Słupsk.

Fabryka Scanii w Słupsku działała od 1993 roku. Do 2002 roku produkowała pojazdy ciężarowe i autobusy. Od 2002 w zakładzie produkowane są tylko autobusy, które dostarczane są do krajów europejskich, a ich produkcja jest realizowana pod konkretne zamówienia klientów. W ostatnich latach zakład Scania Production Słupsk S.A. produkował średnio ponad 600 autobusów rocznie, a rekord padł w roku 2020, kiedy wyprodukowano ich 722. Autobusy montowane w Słupsku jeżdżą w Niemczech, Szwecji, Francji, Włoszech, Finlandii, Norwegii, Szwajcarii, Holandii, Litwie, Estonii i Słowacji. ©©

Areszt dla podejrzanej o zabójstwo

Sylvia Lis
Region

Kobieta, która jest podejrzana o zabójstwo w Miłocicach koło Miastka, została aresztowana. Grozi jej dożywocie.

W noc sylwestrową około godziny piątej nad ranem w jednym z domów w Miłocicach doszło do tragicznej w skutkach awantury domowej. Podczas niej 31-letni mężczyzna został dwukrotnie uderzony nożem przez swoją byłą już 28-letnią partnerkę.

Ciosy okazały się śmiertelne. Pomimo przeprowadzonej akcji ratunkowej mężczyzna zmarł na miejscu zdarzenia.

- Tej samej nocy, ale wcześniej, bo około drugiej nad ranem, w domu tym była już przeprowadzana interwencja policji w związku z awanturą domową między mężczyzną

i kobietą - informuje Paweł Wnuk, rzecznik Prokuratury Okręgowej w Słupsku. - Mężczyzna ten wtedy opuścił posiadłość partnerki, do której jednakże powrócił po trzech godzinach.

W sprawie zatrzymano 28-letnią kobietę, której zostały przedstawione zarzuty dokonania zabójstwa, po czym prokurator wystąpił z wnioskiem do sądu o jej tymczasowe aresztowanie.

- Prokuratura wnosiła o trzymiesięczny areszt, jednak sąd zastosował areszt miesięczny - mówi Paweł Wnuk, rzecznik Prokuratury Okręgowej w Słupsku. - Kobieta przyznała się do zarzucanych czynów i złożyła wyjaśnienia, w których przedstawiła swoją linię obrony, która w jej ocenie ma łagodzić jej zwinienie.

Kobieta w chwili zatrzymania była nietrzeźwa.

- Ciało mężczyzny zostało zabezpieczone do badań sekcyjnych - podkreśla prokurator. - Dalsze badania wykażą także czy mężczyzna w chwili śmierci był pod wpływem alkoholu. W sprawie przesłuchani zostaną świadkowie. W toku przeprowadzonych na miejscu zdarzenia czynności prokuratorskich został także zabezpieczony nóż, którym posłużyła się sprawczyni zabójstwa.

Zatrzymanej kobiecie za dokonanie zabójstwa groziła kara nawet dożywotniego pozbawienia wolności. Dodajmy, że w momencie zabójstwa w domu były małe dzieci.

- Zostały one przekazane pod opiekę najbliższych - dodaje Paweł Wnuk - Został też powiadomiony Sąd Rodzinny, który podejmie decyzję o ich dalszym losie. Dzieci również zostaną przesłuchane. ©©

MATERIAL INFORMACYJNY

0010990096

Rozpoczynają się TRANSPORTY KOMPONENTÓW TURBIN NA FARMĘ WIATROWĄ WARBLEWO

W styczniu 2024 roku Tauron rozpocznie dostawy turbin wiatrowych na farmę wiatrową Warblewo. Elektrownia o mocy 30 MW powstaje w województwie pomorskim w okolicach Słupska. By zminimalizować niedogodności mieszkańców, firma zaplanowała wielkogabarytowe transporty w godzinach nocnych.

Przejazd odbędzie się drogą gminną w relacji Saborze – Warblewo. Od 8 stycznia rozpoczną się transporty turbin na teren farmy. Zaplanowano 45 transportów ło-

pat, 15 transportów gondoli, 60 transportów elementów wież oraz żurawie niezbędne do wykonania montażu.

Transporty komponentów będą miały charakter wielkogabarytowy o długości 56 m, szerokości 4,3 m, wysokości 4,3 m i nacisku na oś do 12 ton.

By zminimalizować niedogodności mieszkańców, transporty będą realizowane nocami. - Za wszelkie utrudnienia komunikacyjne w trakcie trwania transportów przepraszamy. Nowe inwestycje w przyszłości służyć będą również mieszkańcom, prosimy więc o cierp-

liwość na drodze – wyjaśnia Wojciech Więclawek, prezes Tauron Zielona Energia.

- Budowa farmy w Warblewie realizowana jest zgodnie z harmonogramem. Tak jak zakładaliśmy, montaż turbin mamy zaplanowany na I kwartał 2024 r., prosimy o wyrozumiałość w trakcie transportów, dołożymy wszelkich starań, żeby uniknąć utrudnień na drogach dojazdowych i jak najszybciej je zakończyć. Pozostałe prace przebiegają również sprawnie, a przekazanie farmy do eksploatacji nastąpi pod koniec 2024 roku – podsumowuje prezes Więclawek.

AUTOPROMOCJA

GŁOS
POMORZA

Dzień dobry
w **poniedziałek**

gp24.pl

REKLAMA

0010989295

Burmistrz Miastka

stosownie do art. 35 ust. 1 ustawy z dnia 21 sierpnia 1997 roku o gospodarce nieruchomościami (t.j. Dz. U. z 2023 r., poz. 344 ze zm.) informuje, że na tablicach ogłoszeń tutaj, urzędu oraz na stronie <http://www.bip.miastko.pl/> zamieszczone zostały na okres 21 dni wykazy nieruchomości:
- przeznaczonych do dzierżawy na rzecz dotychczasowych użytkowników gruntu, położonych w obrębach Jeden, Dwa, Trzy, Cztery, Pięć m. Miastko, Dretyń, Świerżno, Kwisno, Słosinko, Świerżenka, Przeradz, Świerżyno, Węgorzynko, Pasieka i Trzcinno gm. Miastko,
- przeznaczonej do dzierżawy na rzecz dotychczasowego użytkownika gruntu, położonej w obr. Słosinko, gm. Miastko oznaczonej numerem działki 217/6 w części o pow. 9 m² i 16 m² na cele garażowe,
- przeznaczonej do dzierżawy na rzecz dotychczasowego użytkownika gruntu, położonej w obr. Słosinko, gm. Miastko oznaczonej numerem działki 217/6 w części o pow. 9 m² na cele składowe,
- położonej w obr. Pasieka, gm. Miastko oznaczonej numerem działki 374/1 przeznaczonej do sprzedaży w formie bezprzetargowej na poprawę warunków zagospodarowania nieruchomości przyległej.

Pijany kurier z puszkami piwa w rękach uciekał przed policjantami

Sylwia Lis
Region

W Kramarzynach w powiecie bytowskim policjanci zatrzymali nietrzeźwego kuriera, który wjechał samochodem do rowu. Mężczyzna usiłował uciekać trzymając w rękach puszki z piwem.

O prawdopodobnie nietrzeźwym kierowcy, który wjechał do rowu nieopodal Kramarzyn, zaalarmowali policjantów świadkowie zdarzenia.

- Kierowca jednej z firm kurierskich, gdy tylko usłyszał, że policjanci są w drodze pozostał swój pojazd pełny niedostarczonych paczek i ruszył do ucieczki - mówi Dawid Łaszczyk, oficer prasowy Komendy Powiatowej Policji w Bytowie. - Po wskazaniu kierunku i rysopisu mężczyzny, funkcjo-

nariusze natychmiast rozpoczęli penetrację pobliskiego terenu.

Po kilku minutach nagle wśród drzew pobliskiego lasu wyłonił się mężczyzna biegnący z dwiema puszkami piwa w rękach. Za nic miał jednak wezwania policjantów do zatrzymania, więc mundurowi ruszyli w pościg pieszy i po chwili obezwładnili mężczyznę. W rozmowie przekazał on policjantom, że właśnie wraca z pracy do domu, a w drodze powrotnej wypił dwa piwa. Pomylił jednak drogi do domu, więc próbował zawrócić nie zauważając rowu.

Badanie trzeźwości 38-lątka wykazało, że ma on w organizmie ponad 2,5 promila alkoholu. Zatrzymano mu prawo jazdy i wkrótce odpowie za jazę w stanie nietrzeźwości. Grozi mu kara do 3 lat pozbawienia wolności.



Policjanci sprawdzili trzeźwość kierowcy. W organizmie miał ponad 2,5 promila alkoholu

Wojciech Lesner
Słupsk

Dziury, błoto i potężne kałuże - tak w kilku słowach można opisać podwórko kamienicy przy ul. Bałtyckiej w Słupsku. Na jego fatalny stan od kilku lat skarżą się mieszkańcy. Modernizacja terenu jest w planach miasta, ale to na razie melodia przyszłości.

- Byłem już w urzędzie. Prosił porobić zdjęcia, napisać pismo. Upominamy się o remont podwórka już od 10 lat. Wygląda to tragicznie. Jako wspólnota mieszkaniowa wzięliśmy kredyt, zrobiliśmy budynek, ale otoczenie jest fatalne. Tu nawet nie chodzi o wygląd, ale o bezpieczeństwo mieszkańców. To wstyd i hańba dla miasta - mówi pan Jan, który zgłosił się do redakcji „Głosu Pomorza” z prośbą o interwencję, załączając galerię zdjęć pokazującą skalę problemu.

Chodzi o podwórko zlokalizowane przy budynkach na ul. Poniatowskiego 2, 2A, 2B oraz ul. Bałtyckiej 30 i 30A. Po ulewach i roztopach mieszkańcy zmuszeni są omijać wielkie kałuże, by móc dostać się do swoich domów. Zbierając się w głębokich dziurach woda uniemożliwia również sprawny dojazd. Pan Jan sugeruje, że problem mógłby zostać połowicznie rozwiązany



Tak wygląda obecnie podwórko pomiędzy kamienicami przy ul. Bałtyckiej 30 i 30A a ul. Poniatowskiego 2, 2A i 2B

przez zasypanie dziur, bo na modernizację terenu należącego do miasta już dawno przestał liczyć.

Grzegorz Kubanek, dyrektor ds. technicznych z Przedsiębiorstwa Gospodarki Mieszkaniowej w Słupsku przyznał w rozmowie z „Głosem”, że stan podwórka jest urzędnicom znany. Teren ma zostać wyremontowany - wyłożony kostką polbrukową. Jak jednak zaznaczył, mieszkańcy muszą uzbroić się w cierpliwość. Najpierw ma zostać przeprowadzona kompleksowa termomodernizacja budynków przy ul.

Poniatowskiego. To nastąpi nie wcześniej niż w 2025 roku.

- Chcemy zrobić pełną modernizację budynków Poniatowskiego 2, 2A, 2B, łącznie z izolacją ścian fundamentowych. W następnej kolejności, po wykonaniu tej modernizacji, chcemy to podwórko w jakiś sposób zmodernizować, bierzemy pod uwagę utwardzenie kostką polbrukową - informuje Grzegorz Kubanek. - Mieszkańcy muszą się uzbroić w cierpliwość. W tej chwili jesteśmy na etapie wykonywania projektów do modernizacji elewacji.

Do końca tego roku musimy przygotować dokumentację. Jest jej sporo. Od przyszłego roku do 2028 r. jest termin realizacji. Chcemy w pierwszej kolejności zmodernizować ściany i dachy, łącznie z wymianą stolarki okiennej i drzwiowej tych budynków, na koniec chcemy utwardzić podwórko, sam wjazd do budynków. Co kilka miesięcy próbujemy coś nasypać, coś wyrównać, żeby w miarę możliwości ten wjazd był przejezdny - dodaje dyrektor Kubanek.

©P

Bytowska komunikacja miejska sięga dalej

Sylwia Lis
Region

Komunikacja miejska w gminie Bytów rozszerza się. Od 2 stycznia byciobusy, czyli autobusy miejskie kursują do Mądrzechowa oraz części Udorpie. Mieszkańcy liczą, że już niedługo autobusem dotrą nad jezioro Jeleń.

Uruchomiono cztery nowe linie: 3, 3A, 3B w kierunkach Mądrzechowa (kościół, ul. Brylantowa, ul. Zbożowa) oraz linię 4 w kierunku Udorpie/Leśna i Udorpie/Miastecka przez ulice Drzymały/Kwiatową i Tartaczną. Rozkład pozostałych linii pozostaje bez zmian.

Komunikacja miejska w Bytowie funkcjonuje już od prawie trzech lat i cieszy się olbrzymim powodzeniem. Potwierdzają to badania ankietowe.

Wśród respondentów powszechnie pojawiał się apel o rozszerzenie istniejących linii i objęcie usługą dowożenia mieszkańców okolicznych wiosek. Dotyczył właśnie osiedla Leśna w Udorpiu oraz Mądrzechowa.

Aktualnie z komunikacji miejskiej w Bytowie korzysta około 2 500 pasażerów dziennie, a w roku ubiegłym byciobusami podróżowało łącznie ponad 60 tys. osób miesięcznie.

- Objęcie komunikacją miejską miejscowości Mądrzechowa jest podyktowane nie tylko wnioskami mieszkańców tej miejscowości, ale przede wszystkim analizą potrzeb, a zarazem możliwościami finansowymi gminy Bytów - wyjaśnia Ryszard Sylka, burmistrz Bytowa. - Mieszkańcy Mądrzechowa to stosunkowo młode osoby, które pracują głównie



W ubiegłym roku byciobusami podróżowało łącznie ponad 60 tys. osób miesięcznie

w Bytowie i codziennie dojeżdżają do pracy. Podobnie przedstawia się sprawa dojazdów dzieci i młodzieży do szkół. W ostatnich latach niemal wszystkie sklepy wielkopowierzchniowe lokalizują

się w północnej części miasta, co niejako wymusza, również na mieszkańcach Mądrzechowa korzystanie z własnych środków lokomocji, o ile nie będzie komunikacji miejskiej. Ważnym aspektem jest moż-

liwość dojazdu do bytowskiego szpitala i powrót do domu.

Istotną przesłanką przemawiającą za wprowadzeniem komunikacji miejskiej do Mądrzechowa jest potencjał rozwojowy. Zgodnie z przyjętym w 2019 roku miejscowym planem zagospodarowania przestrzennego miejscowość ta docelowo ma być zamieszkała przez około 3 tysiące osób.

- Wprowadzenie trzech połączeń rano, trzech połączeń w godzinach wczesno popołudniowych oraz trzech połączeń popołudniowo - wieczornych

Nowe linie to 3, 3A, 3B w kierunkach Mądrzechowa oraz linia 4 w kierunku Udorpie/Leśna i Udorpie/Miastecka

powinno zagwarantować minimum potrzeb - dodaje Ryszard Sylka. - Ewentualne wprowadzenie dodatkowych połączeń lub zmiany godzin przejazdów powinny wynikać z analiz, które należy przeprowadzić po kilku miesiącach funkcjonowania komunikacji miejskiej. Koszt wprowadzenia nieodpłatnej komunikacji miejskiej na nowych liniach jest trudny do oszacowania, ponieważ obsługujący te linie operator zostanie zobowiązany do wykonywania usługi podobnym autobusem, zarówno pod względem wymogów technicznych jak i wizerunkowych oraz do posiadania autobusu zastępczego. Wszystkie koszty związane z eksploatacją autobusów będą spoczywały na operatorze. Szacuje się, że roczny koszt realizacji tej uchwały wyniesie od 300 do 500 tys. zł, w zależności od liczby kursów. ©P

Świnoujście jednym z największych terminali promowych w Europie

Piotr Jasina
Pomorze

- Notujemy więcej zawinięć promów niż Rostock, Ystad, Gdynia czy Kłajpeda - podkreśla Marek Kowalewski, prezes Terminalu Promowego Świnoujście. - Mamy pięć stanowisk promowych, często wszystkie są zajęte...

Dla zobrazowania skali działalności terminalu promowego w Świnoujściu prezes Marek Kowalewski przytacza trochę danych.

- Do Gdyni zawija miesięcznie około 80 promów - mówi. - Rostok, ważny konkurent naszych portów, ma tych zwinieć 170. Gdańsk, który w przeładunkach kontenerowych i w ogóle wyrasta na bałtyckiego lidera i jeden z największych portów w Europie, miesięcznie ma maksymalnie 30 zawinięć promowych. W naszym terminalu w ciągu miesiąca mamy ponad 300! Po-



FOT. PIOTR JASINA

Terminal promowy w Świnoujściu imponuje nie tylko skalą działalności, także nowoczesną infrastrukturą i uniwersalnością

dobną liczbę co prawda wykazuje Ystad, ale wraz z kursami turystycznymi na Bornholm. Bez przesady możemy powiedzieć, że nasz terminal promowy jest jednym z największych w Europie.

Roczne statystyki są jeszcze bardziej wymowne. Świnouj-

ście - do 3800 zawinięć promów, Rostok - ponad 2000, Ystad - ok. 3600, Gdynia - ok. 950, Gdańsk - ponad 300.

- Potentatem w tej naszej statystyce niewątpliwie jest Trelleborg, który wykazuje 8000 zawinięć rocznie - nie ukrywa rozmówca „Głosu”.

Terminal promowy w Świnoujściu imponuje nie tylko skalą działalności, także nowoczesną infrastrukturą i uniwersalnością. Pod koniec minionego roku zakończona została bardzo ważna inwestycja dostosowująca terminal do obsługi transportu intermodalnego (jak

podaje PWN, ten rodzaj transportu polega na przemieszczaniu ładunków w tej samej jednostce ładunkowej (np. kontenerze) lub pojeździe (np. naczepa, barka) różnymi gałęziami transportu, ale bez przeładunku samego ładunku - dop. red.).

- Modernizując terminal, rozbudowaliśmy nie tylko funkcje przeładunkowe - podkreśla Kowalewski. - Dzięki połączonym dwóm stanowiskom (nabrzeże długości 294 metrów - dop. red.) mogą już tu cumować promy o długości do 270 m.

Świnoujski terminal po przebudowie dysponuje bardzo nowoczesnymi placami, nabrzeżami z nowymi odbojnicami, infrastrukturą kolejową i parkingami.

- Na nowych placach parkingowych dla kierowców TIR-ów zostało przygotowanych 1000 miejsc, dwukrotnie więcej niż było przed rozpoczęciem inwestycji - dodaje prezes TPŚ. Podkreśla także znaczenie nowej

estakady, która w istocie stanowi osobny wyjazd z terminalu i jest bardzo istotnym ułatwieniem komunikacyjnym. Przed modernizacją wjazd możliwy był tylko z jednej strony.

Kowalewski wskazuje też na nowe wyposażenie terminalu w ramach zakończonej właśnie modernizacji i dostosowania do przeładunków intermodalnych: cztery ciągniki siodłowe i dwa wózki wysokiego składowania Reachstackery, z których każdy waży 100 ton i ma udźwieg 45 ton.

Dodajmy, że terminal w Świnoujściu jest częścią korytarza transportowego Bałtyk-Adriatyk i usprawnia łańcuch logistyczny pomiędzy Skandynawią a Europą Południową.

- Liczymy na dobry 2024 rok - kończy Kowalewski. - W minionym, ze względu na recesję głównie w Szwecji i na rynku niemieckim, odnotowaliśmy w branży spadki rzędu 10 procent. ©

Spełniaj marzenia z „Głosem Pomorza”! W Naszej Loterii możesz zgarnąć nawet 10 tysięcy złotych na realizację swoich celów

Okres noworoczny to często nowa energia do działania i... dobrze nam wszystkim znane postanowienia. Niestety, czasem brakuje nam zapалу i motywacji by je spełniać. Do realizacji wielu z nich bywa potrzebna także dodatkowa gotówka. I może motywacji rozdawać nie umiemy, ale wiemy, gdzie jest szansa na zgarnięcie ekstrakasy!

Nasza Loteria to zabawa, która jest skierowana do czytelników „Głosu Pomorza” oraz serwisu gp24.pl, a także użytkowników serwisu www.naszemiasto.pl. Na tych, którzy dołączą do gry, czekają wspaniałe nagrody. Nie trzeba wykonywać żadnych skomplikowanych działań, wystarczy jedno słowo wysłane w SMS-ie.

Do wygrania gotówka!

Loteria składa się z rund różnej długości. O tym, ile dana runda trwa, można się dowiedzieć ze strony naszej loterii.pl. Szczęśliwiec, który zostanie wylosowany w tej rundzie ma szansę wygrać



naprawdę pokaźną sumę. Jaką? Może to być 1000 zł, 5000 zł, 10 000 zł, a czasami nawet więcej! O tym także informujemy na bieżąco na stronie loterii.

W tej rundzie możesz zgarnąć nawet 10 tysięcy złotych

W piątek, 5 stycznia, o godzinie 15.30 zaczyna się kolejna runda Naszej Loterii, która potrwa przez tydzień.

W piątek, 12 stycznia odbędzie się losowanie. Wezmą w nim udział wszystkie losy, które kupiono za pomocą SMS-ów lub BLIK-iem w czasie trwania tej rundy, a więc od 5 stycznia od godz. 15.30 do 12 stycznia do godziny 15.30. Losy, które wpłyną już po 15.30 nie przepadają. Wezmą udział w kolejnej rundzie.

Jak włączyć się do gry? Wystarczy wysłać SMS o tre-

ści **GRAM na nr 7375** (koszt 3,69 zł). W losowaniu 12 stycznia wezmą udział wszyscy gracze, którzy wysłali w czasie trwania rundy SMS lub wykupili los BLIK-iem. Z wylosowanym szczęśliwcem spróbujemy się skontaktować telefonicznie. Jeśli odbierze od nas połączenie, będzie miał możliwość wybrania jednej skrytki naszego specjalnego Sejfomatu. Skrytek jest 25 i w każdej

znajduje się gotówka. Jak duża? O tym decyduje tutaj szczęście.

Mało tego, w listopadzie 2024 roku w Naszej Loterii odbędzie się wielki finał, a więc losowanie, w którym do zgarnięcia będzie ćwierć miliona złotych! Weźmie w nim udział każdy SMS i każdy los kupiony podczas trwania całej loterii.

Nie przegap szansy na wyjątkową nagrodę rzeczową

Każdy z nas ma marzenia. Jedni chcą szczęścia, inni bogactwa. Są też tacy, którzy chcą spędzić romantyczne chwile w luksusowym hotelu, marzą o Thermomixie lub najnowszym modelu smartfona. Jeśli będziecie śledzić przebieg Naszej Loterii, być może jedno z takich właśnie marzeń się spełni! Szczęście? Da Wam wygrana. Bogactwo? W finale można zgarnąć nawet 250 tysięcy złotych! W Naszej Loterii pojawiają się co jakiś czas rundy specjalne. A w nich, oprócz gotówki, do wygrania są także atrakcyjne nagrody rzeczowe. W piątek, 5 stycz-

nia o godz. 15.30 kończy się runda specjalna, która trwała od 15.12. Szczęśliwiec otrzyma najnowszy model Thermomixa! A do drugiego być może poleci aż 10 tysięcy złotych! Skąd dowiedzieć się o rundzie specjalnej? Również ze strony naszaloteria.pl.

Nie tylko kasa, ale i sława!

Gotówka lub nagroda rzeczowa to nie jedyne atrakcje Naszej Loterii. Każdy zwycięzca będzie mógł poczuć się jak prawdziwa gwiazda. Jeśli wyrazi na to zgodę, skontaktują się z nim nasi dziennikarze, aby przeprowadzić wywiad. Pani Justyna z Krzeszowa, pani Anna z Zielonej Góry i pan Grzegorz z Torunia, a więc jedni ze zwycięzców w Naszej Loterii, już zakosztowali swoich pięciu minut sławy. Możesz do nich dołączyć! Nie czekaj i zagraj!

Szczegóły i regulamin znajdują się na stronie naszaloteria.pl. Loteria dla osób w wieku 18+. Organizatorem Loterii i Administratorem danych jest Peakmake Sp. z o.o.

Drugie wkroczenie Sowietów w granice Rzeczypospolitej

Maciej Korkuć
historia

Stalin chciał mieć wolną rękę zarówno w decydowaniu o granicach Polski, jak i o jej ustroju, władzach państwowych i losie mieszkańców.

Rząd Polski jako jedyny i prawowity, przez Kraj i Polaków na Obczyźnie oraz przez rządy sprzymierzone i wolne uznawany sternik i wyraziciel Narodu Polskiego [...] stwierdza niezniszczalne prawa Polski do niepodległości, uświęcone we wspólnych wszystkim Narodom Zjednoczonym zasadach Karty Atlantycznej i w obowiązujących traktatach międzynarodowych. [...] Rząd Polski oczekuje, że Związek Sowiecki [...] uszanuje prawa i interesy Rzeczypospolitej i Jej obywateli - to fragment oświadczenia Rządu RP z 5 stycznia 1944 r. Kilkanaście godzin wcześniej Armia Czerwona wkroczyła na ziemie polskie. Teraz wypierała z tych obszarów wojska niemieckie. Jednak i tym razem - tak jak w 1939 r. - Stalin nie zamierzał respektować prawa Polaków do życia w państwie wolnym i niepodległym.

Zasady aliantów

Nie bez powodu Rząd RP odwoływał się do Karty Atlantycznej. To tam zostały zawarte główne hasła obozu alianckiego w II wojnie światowej. Kartę, której treść uzgodnili 14 sierpnia 1941 r. prezydent USA i premier Wielkiej Brytanii, podpisał również Związek Sowiecki - niedługo po ataku dotychczasowego niemieckiego sojusznika. Było w niej zawarte przede wszystkim wyznanie się jakichkolwiek dążeń do ekspansji terytorialnej lub innej. Z myślą o krajach napadniętych w pierwszych latach wojny zawarto twardą deklarację, że Alianci nie zgodzą się [...] na żadne zmiany terytorialne, które by nie zgadzały się ze swobodnie wyrażonymi życzeniami ludów zainteresowanych. Jednocześnie podkreślono szacunek dla prawa wszystkich ludów do wybrania sobie formy rządu, pod jakim chcą żyć i determinację w dziele przywrócenia praw suwerennych i autonomii tym, którym je odebrano siłą.

Poprzez wypisanie na sztabach hasła niesienia narodom wolności obóz aliancki podkreślał moralną wyższość



W Teheranie Stalin uzyskał z ust Roosevelta i Churchilla potajemną zgodę na aneksję wschodniej połowy Polski

nad państwami Osi - nosicielami systemu zbrodni i zniewolenia. Tak określone zasady doskonale współgrały z najważniejszymi celami wojennymi Rzeczypospolitej Polskiej. Jako kraj aliancki i ważny sygnatariusz Karty, Polska w spokoju mogłaby oczekiwać zakończenia wojny... gdyby te deklaracje również w kolejnych latach były przestrzegane. Mogłaby być pewna odzyskania całości przedwojennego terytorium i spokojna o państwową niepodległość w obozie zwycięzców. Tego właśnie Polacy oczekiwali od Sowietów, którzy ponownie wchodzili na nasze terytorium: respektowania jej państwowej suwerenności i terytorialnej spójności. Nic więcej.

Jednak sytuacja Polski stała się coraz trudniejsza. Dopóki w latach 1941-1942 wojna toczyła się daleko na wschód od ziem polskich, Stalin utrzymywał pozory tolerowania Polski jako partnera w obozie alianckim. Zakończenie bitwy pod Stalingradem na początku roku 1943 przyniosło definitywny przełom na froncie wschodnim. Stalin stanął przed perspektywą zwycięskiego marszu Armii Czerwonej na zachód. Oznaczało to możliwość powrotu do imperialnych planów bolszewickiego podboju Europy. Wbrew teozom na siłę formułowanym

na Zachodzie brutalny sowiecki totalitaryzm nie uległ przemianom. W swej istocie był prostą kontynuacją państwa, które w latach współpracy Stalina z Hitlerem popełniało zbrodnie przeciw pokojowi, zbrodnie wojenne i zbrodnie przeciw ludzkości. Tyle, że teraz sowiecki imperializm skrywany był pod alianckimi hasłami „narodów zjednoczonych”. I wzmocniony uступliwością Zachodu oraz wsparciem anglosaskiej dyplomacji i propagandy.

Przeciw Polsce

Stalin chciał mieć wolną rękę zarówno w decydowaniu o granicach Polaków, jak i o jej ustroju, władzach państwowych i losie mieszkańców. Historia pokazała, że dążył nie tylko do zagrabienia niemal połowy terytorium państwa polskiego z Wilnem i Lwowem, ale także zmierzał do zniewolenia całej reszty. Zniewolenie Polski miało być kluczem do panowania nad całym regionem centralnej Europy.

Kreml działał sekwencyjnie. Przystąpił do realizacji polityki agresji przeciw RP rozłożonej na wiele etapów. Po zaspokojeniu jednych żądań z czasem ujawniał kolejne. W pierwszych miesiącach roku 1943 celem Stalina stało

się obniżenie autorytetu i znaczenia Polski w koalicji, potem - stopniowe wypieranie jej, jako podmiotu, z areny sojuszniczej. Tak, aby w końcu została zepchnięta do roli jedynie przedmiotu w polityce międzynarodowej mocarstw.

Prowokacyjne działania Związku Sowiecki zaczynał m.in. od ponownego narzucenia obywatelstwa sowieckiego polskiej ludności uwolnionej z łagrów i miejsc odosobnienia. Zaraz potem nakazał przebywającym w ZSRS polskim komunistom ogłosić powstanie tzw. Związku Patriotów Polskich, pozorującego przedstawicielstwo niezależnych środowisk, przeciwnych władzom RP. W rzeczywistości było to dodatkowe i w pełni dyspozycyjne narzędzie polityki i antypolskiej propagandy sowieckiej. Kreml konsekwentnie dążył do eskalacji napięcia w stosunkach dwustronnych.

Korzystał z odejścia USA od twardego egzekwowania zasad Karty Atlantycznej. Sowiecki dyktator chciał się pozbyć formalnych ograniczeń. Dnia 25 kwietnia 1943 r. Moskwa zerwała stosunki dyplomatyczne z Polską. Szła z tym w parze eskalacja żądań wobec Polski, teraz dotyczących już nie tylko terytorium, ale także obsady władz państwowych RP. W ten sposób Polska jako

jedyny kraj świata wśród aktywnych członków koalicji antyniemieckiej, stała się już w latach wojny celem wewnątrzkoalicyjnej agresji ze strony ZSRS.

W roku 1943 na konferencji w Teheranie Stalin uzyskał bezpośrednio z ust Roosevelta i Churchilla zgodę na aneksję wschodniej połowy Polski.

Co gorsza, coraz bardziej realna stawała się perspektywa wkroczenia do Polski Armii Czerwonej, wrogiej polskim aspiracjom do niepodległości. Polska mogła liczyć tylko na to, że jej wysiłek militarny w kraju i na Zachodzie wymusza interwencję Aliantów i zmuszą ZSRS do respektowania wobec RP koalicyjnych zasad Karty Atlantycznej.

Sens oporu

W takich okolicznościach w grudniu 1943 r. rozpoczęła się sowieckie natarcie na ukraińskim odcinku frontu - od Polesia do Morza Czarnego, od Dniepru do Karpat. W operacjach 1. Frontu Ukraińskiego główne uderzenie skierowano na Żytomierz i Berdyczów. W wyniku tej operacji w nocy z 4 na 5 stycznia 1944 r. po raz drugi w czasie wojny Armia Czerwona przekroczyła granice Polski zajmując na Wołyniu miejscowość Sarny i dochodząc na przedpolu Równego i Szepetówki.

W końcu stycznia 1944 r. Sowietci rozpoczęli operację równieńsko-łułącką zajmując kolejne polskie miejscowości. Stalin już w tym czasie czynił potajemne przygotowania do powołania alternatywnych, komunistycznych ośrodków władzy.

W cytowanym oświadczeniu z 5 stycznia 1944 r. Rząd Rzeczypospolitej przypominał: Naród polski pierwszy stawił czoło nawałi niemieckiej i od czterech przeszło lat, pomimo bezprzykładnych ofiar i cierpień, zmagając się bezustannie z przemocą, nie wydawszy spośród siebie Quislinga i odrzucając wszelki kompromis i współpracę z najeźdźcą. [...] Ma zatem Naród Polski prawo oczekiwać pełnej sprawiedliwości i zadośćuczynienia z chwilą wyzwolenia spod okupacji wroga. Jak najprędzej przywrócenie suwerennej władzy państwowej nad uwalnianymi ziemiami Rzeczypospolitej i zabezpieczenie życia i mienia jej obywateli są nieodzownym trybem sprawiedliwości warunkiem.

Tymczasem Moskwa dla celów propagandowych potrzebowała uległości Polski w kwestiach terytorialnych. Liczyła na to, że na początku roku 1944 nacisk amerykański spowoduje, że Polska samodzielnie usankcjonuje zabór ziem wschodnich przez ZSRS. Pomylili się. Polskie władze nie zamierzały skazywać milionów obywateli RP na bolszewicki reżim w aurze prawnego legalizmu. 20 stycznia 1944 r. Rząd RP wydał kolejne oświadczenie, w którym podkreślił dobitnie, iż Naród Polski kategorycznie i bezwzględnie odrzuca sowieckie pretensje do wschodnich terenów Państwa Polskiego.

Historia pokazała, że ustępstwa tylko ułatwiłyby Stalinowi ekspansję, nie tworząc żadnych warunków dla odbudowy niepodległej Polski. Znamy kulisy sowieckich działań przeciw Polsce. Wiemy, że Stalin był zdeterminowany, aby nie dopuścić do odbudowy wolnej Rzeczypospolitej. Polskie ustępstwa były potrzebne Moskwie tylko po to, aby tym łatwiej rozciągnąć panowanie bolszewickiego totalitaryzmu w Europie. Gdyby Polska usankcjonowała zabór, działanie Stalina Kreml mógłby zyskać tym większą propagandową siłę, głosząc, że wciąż działa w zgodzie z moralnymi imperatywami Aliantów.

Polska nieustępliwość i odmowa usankcjonowania moskiewskiego gwałtu na alianckim sojuszniku miała swoje znaczenie w historii. Wprawdzie nie była w stanie sprowdzić otrzeźwienia dla anglosaskiej polityki ustępstw wobec Stalina już w roku 1944. Jednak obserwacja tego, w jaki sposób Stalin, pod wolnościami hasłami „Narodów Zjednoczonych” doprowadził do zniewolenia Polski, stała się bazą, na której amerykański dyplomata George Kennan sporządził dokument, który odmienił amerykańską politykę wobec sowieckiego totalitaryzmu. W 1946 r. przygotowany przez niego tzw. „Długi Telegram” doprowadził do zmiany polityki ustępstw na doktrynę powstrzymywania komunizmu.

Niestety ogłoszenie nowego kursu Waszyngtonu wobec Moskwy nastąpiło dopiero wiosną roku 1947. Cała Polska za „Żelazną Kurtyną” już dawno była poddana stalinowskiemu zniewoleniu. ©

POLSKA i ŚWIAT

KRÓTKO

BIELSKO-BIAŁA

Kłopoty bielskiej fabryki Fiata

468-osobowa załoga bielskiego zakładu Fiata straci pracę. To efekt postawienia w stan likwidacji spółki FCA Powertrain Poland, która ma potrwać do końca roku. - Wszyscy się tego spodziewaliśmy (po tym, jak w 2023 roku zwolnionych zostało 300 pracowników FCA - red.). Dlatego pod koniec ubiegłego roku zażądaliśmy ostatecznej informacji, co ze spółką, bo wszyscy pracownicy żyli w niepewności i nie wiedzieli, czy będzie praca, czy jej nie będzie - mówi w rozmowie z DZ Wanda Stróżyk,

przewodnicząca Międzyzakładowej Organizacji Związkowej NSZZ „Solidarność” FCA Poland. Zdaniem związkowców konieczne jest wypracowanie odpowiednich rozwiązań osłonowych dla pracowników spółki. W najbliższym czasie likwidator ma przeprowadzić negocjacje warunków ze stroną społeczną, na jakich pracownicy zakończą świadczenie pracy. Terminy zwolnień mają być uzależnione od potrzeb spółki. Robert Lewandowski, Jacek Drost

POLSKA

Szykuje się powrót zimy



FOT. TOMASZ CZACHOROWSKI

Noc z czwartku na piątek oznacza powrót zimy. W całym kraju ma padać deszcz oraz śnieg. Na Suwalszczyźnie słupki termometrów mają spaść do aż minus 13 stopni. W centralnej części kraju będzie to już minus 4, a najcieplej na zachodzie, gdzie spodziewane jest zero stopni. W przyszłym tygodniu śnieżnie i mroźnie.

REKLAMA 0010966015
ZŁOM kupię, potnę, przyjadę i odbiorę, tel. 607 703 135.
USŁUGI HYDRAULICZNE, tel. 607 703 135.
SPRZĄTANIE strychów, garaży, piwnic, wywóz starych mebli oraz gruzu w big bagach, 607 703 135.

Strefa Biznesu
czytaj
strefabiznesu.pl

MEDYKA

4 stycznia rolnicy wznowili swój protest na przejściu granicznym w Medyce, które po raz kolejny zostało zablokowane. Rolnicy rozpoczęli swój protest 23 listopada. Po miesiącu zawiesili go. Dzień wcześniej do Medyki przyjechał minister rolnictwa Czesław Siekierski, który zapewnił, że postulaty rolników zostaną spełnione. Jak tłumaczą protestujący, do tej pory nie otrzymali oni jednak na piśmie zapewnienia, że tak się stanie.

”

Europa jako całość musi być silniejsza militarnie od Rosji. To jedyny sposób zabezpieczenia europejskich i polskich granic

Donald Tusk, premier

Rosyjska rakietą nad Polską to prowokacja Kremla?

Karolina Wróbel
Warszawa

- Nie można wykluczyć, że rosyjska rakietą w polskiej przestrzeni powietrznej to prowokacja - powiedział szef BBN Jacek Siewiera w TVN24.

Jacek Siewiera był w środę gościem TVN24, gdzie został spytany o kwestię obiektu, który w ubiegły piątek rano, podczas zmasowanego ostrzału rakietowego Ukrainy przez Rosję, naruszył polską przestrzeń powietrzną, a chwilę później - jak poinformowało wojsko - ją opuścił. W komunikatach wojska wskazano, że obiektem tym była najprawdopodobniej jedna z rakiet wystrzelonych przez rosyjskie wojska.

Szef BBN w środę powiedział, że „mamy wystarczającą wiedzę, by potwierdzić, że ta rakietą pochodziła z systemów rosyjskich”. - Była widoczna na naszych systemach radiolokacyjnych i opuściła terytorium Polski - powiedział. Jak ocenił, współpraca poszczególnych instytucji - BBN i prezydenta Andrzeja Dudy oraz MON i innych resortów - była płynna i szybka, a reakcja adekwatna.

Pytany o scenariusz celowego zaprojektowania przez Rosjan trajektorii rakiet tak, by naruszyła polską przestrzeń, Siewiera stwierdził, że „trudno jest zakładać, że 40 km przekroczenia od granicy RP było przy-



FOT. WOJCIECH WOJTEKIEWICZ

Rosyjska rakietą pojawiła się nad Polską w ubiegły piątek, a potem wróciła nad terytorium Ukrainy

padkowe”. - Tego typu trajektoria narusza przestrzeń powietrzną w bardzo istotny sposób - zaznaczył.

Siewiera podkreślił konieczność ciągłego doskonalenia procedur reagowania na tego typu incydenty, „łącznie z formalną korektą przepisów w zakresie organizacji Systemu Kierowania i Dowodzenia w czasie pokoju”.

Dopytywany, czy uważa, że wtargnięcie rakiet było rosyjską prowokacją, szef BBN powiedział, że „nie może tego wykluczyć”. - Sojusznicy również tego nie wykluczają - dodał. Siewiera zwrócił uwagę, że Rosjanie mają

świadomość, że obecnie rządy w Polsce objęła niedawno nowa formacja, „która nie sprawowała władzy przez ostatnie osiem lat”.

- Czynniki polityczne w nowej administracji musi wejść w swoje obowiązki, poznać te obowiązki i poznać wagę decyzji, z jakimi wiąże się sprawowanie funkcji również nadzoru politycznego i odpowiednio dystrybuować uprawnienia, również na stronę wojskową. To jest proces, to jest zmiana pewnej kultury. (...) To jest zmiana personalna. Dość powiedzieć, że gdyby dziś zrealizować ćwicze-

nia, które były realizowane jeszcze pół roku temu, nie byłoby na nich ani jednej tej samej twarzy - wyjaśnił szef BBN, wskazując z jednej strony na zmianę rządu, ale także na niedawne zmiany na najwyższych stanowiskach w wojsku, w tym na stanowisku szefa Sztabu Generalnego WP.

Szef BBN podkreślił też, że Rosja ma „bardzo rozwinięte zdolności produkcyjne m.in. środków napaadu powietrznego”. Jak zauważył, mimo sankcji i ograniczeń w dostępie do nowoczesnych technologii, Rosjanie są w stanie produkować nowe rakiet, a obecnie są używane do masowych ataków na Ukrainę.

Jacek Siewiera zaznaczył również, że Europa obecnie „bezwzględnie” powinna przestawić się na gospodarkę wojenną, tak jak to robi Rosja. - W tym względzie stanowisko pana prezydenta i również rządu jest dokładnie takie samo. Ten głos jest bardzo silny w UE, a kolejne działania będą w tym zakresie podejmowane, by wzmocnić właśnie ten kierunek wysiłku - podkreślił.

W piątek przed godziną 11 Dowództwo Operacyjne Rodzajów Sił Zbrojnych poinformowało, że tego dnia rano w przestrzeń powietrzną RP od strony granicy z Ukrainą wleciał niezidentyfikowany obiekt powietrzny, który od momentu przekroczenia granicy do miejsca zaniku sygnału obserwowany był przez środki radiolokacyjne.

MIKOŁAJ MAŁECKI (PAP)

Zmiany w Lasach Państwowych. Poinformował o nich premier Donald Tusk. Jest nowy dyrektor generalny

Lidia Lemaniak
Warszawa

Premier Donald Tusk na konferencji prasowej po posiedzeniu rządu poinformował, kto będzie będzie nowym dyrektorem generalnym Lasów Państwowych.

- Będzie to pan Witold Koss, znany leśnik z Zachodniopomorskiego, kiedyś dyrektor regionalny - powiedział szef rządu.

Premier podkreślił, że oczekiwania wobec nowego szefostwa związane są przede wszystkim z wielką potrzebą społecznej autentycznej kontroli, co dzieje się z naszymi lasami.

Donald Tusk zaznaczył, że bardzo docenia „nie tylko dorobek pana Witolda Kossa, ale też jego stosunek do lasów - nie tylko do Lasów Państwowych, ale do polskich lasów”.

Podkreślił, że „polskie lasy to dobro społeczne, dobro na-

rodowe, a nie tylko gospodarka”.

Premier odniósł się na konferencji także do kwestii ograniczenia wycinki w lasach. - Te konsultacje zaczną się także już po formalnym przejściu urzędu przez nowego dyrektora generalnego Lasów Państwowych - mówił Donald Tusk.

Szef rządu zapowiedział „okrągły stół” i debatę na temat przyszłości polskich lasów, w której mieliby wziąć udział:

leśnicy, przedstawiciele przemysłu drzewnego, samorządy, mieszkańcy, organizacje pozarządowe oraz aktywiści działający na rzecz ochrony środowiska.

Obecnie powierzchnia lasów w Polsce wynosi ponad 9,2 miliona hektarów, z czego ponad 7,3 mln ha zarządzane jest przez Państwowe Gospodarstwo Leśne Lasy Państwowe.

LP na swojej stronie internetowej podkreślił, że lasów w kraju przybywa.

Wielkie metropolie w USA zapadają się. Jest powód do paniki i co to oznacza?

Damian Świderski
USA

Jak donoszą naukowcy z Virginia Polytechnic Institute and State University, miasta ze wschodniego wybrzeża Stanów Zjednoczonych corocznie zapadają się o kilka milimetrów.

Według doniesień, miasta ze wschodniego wybrzeża USA, takie jak: Nowy Jork, Long Island, Baltimore, Virginia Beach czy Norfolk corocznie zapadają się o kilka milimetrów. Sprawdzili to badacze z Virginia Polytechnic Institute and State University. Porównali oni satelitarne dane oraz zdjęcia. Dzięki temu opracowali bardzo precyzyjną mapę wysokości terenu. Wyszło im, że ziemia

na wschodnim wybrzeżu USA corocznie obniża się o 2 milimetry. Sprawa osiadania terenu ma dotyczyć aż dwóch milionów obywateli. Takie osiadanie powoduje też zagrożenie dla dróg, linii kolejowych, lotnisk, budynków, gazociągów czy rurociągów.

Ciągłe obniżanie się wschodniego wybrzeża USA powinno budzić niepokój. Dotyczy to szczególnie rejonów o dużym zagęszczeniu ludności i historycznej beztróski w zakresie prac remontowych – powiedział w periodyku „PNAS Nexus” Leonard Ohenhen, główny autor badania.

Naukowcy zmierzili tempo osiadania na poziomie 2 mm rocznie, wiedząc, że ziemia się obniża. I nie jest to abstrakcyjne zagrożenie. PAP



Naukowcy obliczyli, że takie metropolie, jak Nowy Jork czy Long Island zapadają się co roku o kilka milimetrów

Mark Zuckerberg buduje potężny bunkier

Kazimierz Sikorski
USA

Kilkunastu amerykańskich miliarderów planuje budowę potężnych schronów. Wśród nich jest Mark Zuckerberg, założyciel Facebooka.

Wartość konstrukcji Marka Zuckerberga szacuje się na 300 mln dolarów. Powstaje w północno-wschodniej części hawajskiej wyspy Kauai i już wywołuje strach oraz emocje nie tylko miejscowych.

Jak pisze Business Insider, miliarder wykupuje ziemię w pobliżu swej posiadłości, aby zyskać więcej powierzchni pod budowę schronu.

Serwis Wired dodaje, że bunkier będzie miał własne zapasy energii i żywności oraz

drzwi odporne na najpotężniejsze wybuchy. Ma powierzchnię wielkości boiska do piłki nożnej i będzie składać się z kilkunastu segmentów z 30 sypialniami, 30 łazienkami, wieloma windami, biurami i ogromną kuchnią.

Znajdzie się w nim siłownia, baseny, sauna i kort tenisowy. Według Wired pracownicy musieli podpisać umowę zabraniającą im wypowiadania się na temat bunkra.

Atmosferę niepewności, wręcz paniki i teorii spiskowych w mediach społecznościowych podsyca fakt, że kilkunastu innych miliarderów buduje podobne konstrukcje.

Założyciel PayPal, Peter Thiel, chciał w 2022 roku wybudować „rezydencję zagłady” o wartości 10 milionów dolarów na odludziu w Nowej Zelandii, ale odmówiono mu.

Nad front wojny w Ukrainie nadciąga sroga zima

Grzegorz Kuczyński
Ukraina

Prognozy długoterminowe na tegoroczną zimę na Ukrainie wskazują, że będzie ona podobna do poprzedniej, i pod względem temperatur, i opadów.

Prognozy długoterminowe na tegoroczną zimę na Ukrainie wskazują, że będzie ona podobna do poprzedniej, i pod względem temperatur i opadów. Wszystko to ma wpływ na planowanie i realizację działań wojskowych. Surowa zima wpływa zarówno na sprzęt, jak i na ludzi.

Potężny mróz utrudnia działanie broni i sprzętu. Amunicja może tracić szybkość reakcji i dokładność, co oznacza, że potrzeba jej więcej. Zużycie sprzętu wzrasta, a żywotność baterii spada, co prowadzi do bardziej intensywnej konserwacji, która również jest trudniejsza w zimie. Warunki ciężkiej zimy mogą ograniczać ruch i wykorzystanie ciężkiego sprzętu, takiego jak czołgi i (zwłaszcza holowana) artyleria. Może to mieć bezpośredni wpływ na operacje wojskowe. Zamarznięta ziemia, co prawda zapewnia możliwość poruszania się przez gąsienicowe pojazdy opancerzone także poza drogami. Stwarza to możliwości dla manewrów pancernych. Z drugiej strony, twarzą jak skała ziemia utrudnia kopanie nowych okopów, bunkrów, rowów



Obie strony, zarówno Rosja, jak i Ukraina są przygotowane do radzenia sobie z trudami zimy i wykorzystywania jej do wzmocnienia swojego potencjału zbrojnego

przeciwczołgowych i zakładanie pól minowych.

Wzrastają wymagania logistyczne. Jednostki frontowe potrzebują znacznie więcej żywności i paliwa, gdy temperatury spadają. Innym problemem jest kwestia zapewnienia ogrzewania żołnierzom, rośnie ryzyko odmrożenia i hipotermii.

Ponieważ jest to już druga zima tej wojny (plus kilka tygodni z początków inwazji), obie strony są przygotowane do radzenia sobie z trudami sezonu i wykorzystywania go na swoją korzyść. Szef wywiadu wojskowego (HUR) Kyryło Budanow stwier-

dził, że zima nie wpłynie ani na stronę ukraińską, ani rosyjską, ponieważ obie są do niej przyzwyczajone. Prezydent Ukrainy Wołodymyr Zełenski oświadczył, że jego kraj jest przygotowany do kontynuowania operacji wojskowych w zimie. Dowódca sił ukraińskich na froncie południ-

Wiosna 2024 roku zapowiada się jako kolejny ważny etap wojny. Obie strony wykorzystują zimę do wzmocnienia potencjału zbrojnego

wymgen. Ołeksander Tamawski mówi to samo, przypominając, że Ukraińcy poruszają się głównie pieszo bez ciężkiego sprzętu, dlatego pogoda będzie miała niewielki wpływ na ich operacje.

Rosyjscy urzędnicy również mówią, że są przygotowani do zimowych działań wojennych. Rosja dba o to, by jej wojska szkoliły się do walki w ekstremalnych temperaturach.

Wiosna 2024 roku zapowiada się jako kolejny potencjalnie ważny etap konfliktu. Obie strony wykorzystują więc zimę na wzmocnienie potencjału zbrojnego.

Katastrofa na lotnisku w Tokio. Pilot samolotu Straży Wybrzeża nie miał pozwolenia na start?

Andrzej Grochal
Japonia

Trwa śledztwo w sprawie wtorkowej katastrofy lotniczej na lotnisku Haneda w Tokio.

Airbus A350 należący do Japan Airlines podczas lądowania zderzył się ze startującym samolotem japońskiej Straży Wybrzeża. Obie maszyny stanęły w płomieniach.

W wyniku katastrofy zginęło pięciu z sześciu członków załogi samolotu Straży Wybrzeża. Udało się natomiast ewakuować wszystkich 367 pasażerów oraz 12 członków załogi Airbusa. Media nazywają to cudem.

Samolot Straży Wybrzeża, z pomocą dla poszkodowanych w poniedziałkowym trzęsieniu ziemi w Japonii, startował do prefektury Niigata, pod-



Katastrofę na lotnisku media nazywają cudem

czas gdy lecący z Hokkaido Airbus właśnie lądował. Śledczy wykryli rozbieżności w komunikacji z wieżą kontroli – podaje japońska agencja informacyjna NHK.

Przypomnijmy, trzęsienie o sile 7,6 w skali Richtera miało

miejsce w poniedziałek po południu. Zniszczyło budynki, bez prądu zostało dziesiątki tysięcy domów, mieszkańcy niektórych obszarów przybrzeżnych zmuszeni zostali do ucieczki na wyższe położone tereny.

Do pomocy w akcjach ratowniczych rząd wysłał personel wojskowy. Jedno lokalne lotnisko zostało zamknięte z powodu pęknięcia na pasie startowym.

Premier Japonii Fumio Kishida powiedział w poniedziałek wieczorem reporterom, że zespołom poszukiwawczo-ratowniczym trudno jest dotrzeć do obszarów najbardziej dotkniętych katastrofą z powodu zablokowanych dróg.

Samolot Straży Wybrzeża leciał właśnie pomagać najbardziej potrzebującym. Źródło w Ministerstwie Transportu przekazało, że kontrola zezwoliła na lądowanie maszyny Ja-

pan Airlines na pasie C. Jednocześnie miała przekazać samolotowi Straży Wybrzeża, by wstrzymał się ze startem. Jednak pilot tej maszyny, który jako jedyny członek załogi tego samolotu przeżył katastrofę, utrzymuje, że otrzymał pozwolenie na start. Jego wersję potwierdza również japońska Straż Wybrzeża.

W środę Japońska Rada Bezpieczeństwa Transportu rozpoczęła kompleksowe dochodzenie. Służby planują przesłuchać kapitanów obu samolotów.

Katastrofę na tokijskim lotnisku media określiły mianem cudu. Podkreślają sprawność w przeprowadzeniu ewakuacji pasażerów z samolotu Japan Airlines. W ciągu zaledwie 18 minut od fatalnego lądowania udało się uratować wszystkich 367 pasażerów oraz 12 członków załogi z płonącego samolotu. PAP

tygodnik Regionów

Piątek-niedziela, 5-7.01.2024

ROZMOWA

Co to jest susza hydrologiczna i jak ją pokonać? - odpowiada prof. Robert Czerniawski **str. 10-11**

WIARA

Historia siostry Alicji, sanitariuszki, zdolnego chemika i wspaniałej nauczycielki. Męczennicy **str. 14**

MEDYCYNĄ

Ośmioletniej dziewczynce radość dzieciństwa niszczyła padaczka. Chirurdzy dali jej nadzieję **str. 15**



Sara jest łagodna, ale nie dla bandytów. Rozrabiaka Rambo niucha narkotyki

Mają różne charaktery, różne predyspozycje, czasami chorują. Ale zawsze wiernie służą i są wsparciem dla swoich przewodników w służbie policyjnej. **str. 12-13**

To nie przelewki. Woda leje się z

Rajmund Welnic
Klimat

Rozmowa z profesorem Robertem Czerniawskim z Katedry Hydrobiologii Instytutu Biologii Uniwersytetu Szczecińskiego.

Jadąc w pierwszej połowie grudnia do Szczecinka na konferencję naukową poświęconą suszy hydrologicznej, miał pan okazję zobaczyć pola i lasy pokryte warstwą śniegu. To raczej nie był krajobraz typowy w naszym regionie jeszcze przed zimą kalendarzową, która zaczęła się 22 grudnia.

Owszem, klimat się zmienia i od jakichś trzydziestu lat rzadko obserwujemy takie zjawiska, jak pokrywa śnieżna czy lód na jeziorach u progu zimy czy nawet w czasie zimy. A jeżeli już, to na bardzo krótko. A przecież osoby w średnim wieku pamiętają czasy, gdy zimy były bardziej mroźne, śnieżne i długie. Dla naszych rodziców takie zimy były już czymś zupełnie zwyczajnym i z rozrównaniem wspominają tamte czasy. Natomiast teraz zima trwa krótko i, co gorsze, nie ma znaczenia, czy występują w tym czasie opady deszczu, czy śniegu. Z hydrologicznego punktu widzenia najważniejszy jest sam opad.

Ale dane meteo pokazują, że w ciągu roku opady wynoszą mniej więcej tyle samo, co kiedyś.

To prawda, w skali roku ilość opadów nie spada jakoś dramatycznie. Problemem jest to, w jakim czasie i w jakim natężeniu się one zdarzają. Niekorzystnym zjawiskiem jest to, że opady kumulują się w krótkim przedziale czasu, najczęściej w postaci nawałnych burz i ulew. Taki opad natychmiast spływa do rzek i dalej do morza. Woda krótko przebywa w gruncie, a nam chodzi o to, aby przebywała tam jak najdłużej. Tak, jak działa się to z wyjątkowo wczesną na przełomie meteorologicznej jesieni i zimy pokrywą śnieżną. Zapewniała ona bowiem wolne przesiekanie wody do gruntu i utrzymywanie jej na poziomie wód gruntowych.

Czyli wczesna zima to był tym razem bardziej ewenement pogodowy niż zjawisko, które pamiętamy z dzieciństwa?

Raczej tak, zresztą każdy z nas, bez aparatu badawczego i porównań do pomiarów z minionych dziesięcioleci, może to stwierdzić



Robert Czerniawski ukończył Akademię Rolniczą w Szczecinie, od 2020 roku jest pracownikiem naukowym i dydaktycznym Uniwersytetu Szczecińskiego. W 2020 roku uzyskał też tytuł profesora nauk ścisłych i przyrodniczych

na podstawie własnego doświadczenia.

Ale w skali Ziemi kilka dekad to niewiele, więc czy te zmiany, których jesteśmy świadkami, to przyczyna suszy hydrologicznej?

Odpowiedzmy sobie najpierw na pytanie: co to jest susza hydrologiczna? To hasło ustaliliśmy sobie sami, niejako umownie. Obecnie znajdujemy się u schyłku ostatniej epoki lodowcowej, jeszcze 10-15 tysięcy lat temu w miejscu, w którym rozmawiamy (serce Pojezierza Drawskiego - red.) znajdował się lodowiec. Prze-

suwał się on stopniowo na północ, jego szczątkowe ilości dziś istnieją w Arktyce. I siłą rzeczy, im na świecie jest mniej lodu, tym jest cieplej. Dodatkowo człowiek o półtora do dwóch stopni Celsjusza tę temperaturę podwyższa w wyniku swojej działalności. To jest bardzo dużo w skali kilkudziesięciu lat. To ogromna zmiana. Człowiek określeniem suszy hydrologicznej nazywa zjawisko będące brakiem wody. Jeżeli spojrzymy 30-40 lat wstecz, to tej wody było nieco więcej, gospodarowali-śmy też zupełnie inaczej naszymi gruntami, bo w tamtych

czasach rolnictwo było dużo bardziej intensywne, szczególnie na terenach, gdzie funkcjonowały państwowe gospodarstwa rolne. A nie miały one takich problemów z wodą, jakie są obserwowane obecnie.

A może rozprawmy się z mitami i fake newsami, które krążą w świadomości publicznej za sprawą internetu. Na przykład o tym, że jakieś tam ocieplenie i zmiana klimatu, skoro pokrywa lodowa w ostatnim czasie wcale się nie zmniejsza, a wręcz przeciwnie - zwiększyła się. Informację taką kolportowano nie-

dawno w mediach społecznościowych opatrzoną zdjęciami satelitarnymi.

Tak, widziałem tę informację, że na Antarktyce zanotowano przyrost lodowca. Jednak szybko okazało się to typowym fake newsem i zostało zdjęte z oficjalnych stron europejskich agend rządowych. To nie jest prawda. Abstrahując od tego: nie rozpatrujemy chwilowych wahań pogody w porównaniu do zmian klimatycznych. Pogoda a klimat to zupełnie różne sprawy.

Kilkadziesiąt lat z perspektywy życia człowieka to

wiele, ale w skali dziejów Ziemi to niewiele. Pomiary meteo prowadzimy od stu kilkudziesięciu lat. Skąd możemy wiedzieć, jaka pogoda była tysiąc, 10 tysięcy lat temu? Są przekazy, że w wieku XVII można było przejść po zamrożniętym Bałtyku do Szwecji. Może to, czego doświadczamy, to właśnie chwilowe wahnięcia klimatu, co więcej, niezależne od człowieka?

Oczywiście to trudno udowodnić. I tym zajmują się klimatolodzy, którzy szacując na przykład na podstawie stężeń różnych gazów w at-

nieba, ale ziemia jej nie magazynuje

mosferze, wiedzą, jaki klimat był w dawnych epokach. Tego nie można uznać za pewnik, ale już stany hydrologiczne rzek są monitorowane od trzech-czterech tysięcy lat w źródłach historycznych w Azji Mniejszej czy Afryce Północnej. To nie są już dane z krótkiego okresu. Nauka teoretyczna nie poddaje jednak w żadną wątpliwość, że zmiany klimatyczne zachodzą na naszych oczach. Dobrym przykładem są na przykład wspomniane lodowce. W ciągu ostatnich 150-200 lat straciły więcej objętości niż przez poprzednie tysiąc, dwa tysiące lat. Nie ma ani jednej poważnej pracy naukowej, która negowałaby wpływ człowieka na zmiany klimatyczne.

Najczęściej widzimy jednak to, co wokół nas. A widzimy – tu, w okolicach Szczecinka – znikające oczka wodne, stawy, które wyparowały w ciągu jednego roku, nikańciki wodne, jeziora, których linia brzegowa przesunęła się o kilka, kilkanaście metrów rok do roku.

Niestety, jest to skutek obniżania się poziomu wód gruntowych. Z jednej strony jest to nasza nieumiejętność zatrzymywania wody z opadów w gruncie. Podstawą funkcjonowania naszych rzek, jezior i stawów jest wysoki poziom wód gruntowych. To one zasilają i utrzymują poziom wód w tych zbiornikach. A poziom wód gruntowych obniża się przez mniejszą liczbę opadów, które nie filtrują do pokładów wód gruntowych. Drugi powód to dziesiątki lat eksploatacji rolniczej tych ziem, intensywnej melioracji, osuszania terenów pod uprawy. Przez lata ta woda nie była zatrzymywana w glebie, tylko bardzo szybko odprowadzana do rzek.

Melioracja cały czas jest prowadzona. To dobrze czy źle?

Z punktu widzenia rolników, to dobrze, z punktu widzenia zasobów wodnych – fatalnie. Nie da się oczywiście użytkować rolniczo ziemi podmokłej i zalewanej. Musimy wybrać. Albo tracimy rzeki, jeziora i stawy, albo zyskujemy powierzchnie rolne. Koniec końców cierpi jednak na tym całe rolnictwo, bo ta woda nie ma szans się tu utrzymać. Problemem są, jak już wspomniałem, opady nierozłożone w czasie. Tym bardziej powinniśmy robić wszystko, aby tę wodę zatrzymać.



U góry staw w Turowie przed laty, na dolnym zdjęciu – stan obecny



Ale jak? Skoro na suszę hydrologiczną „pracowaliśmy” dekady, to ile czasu zajmie odwrócenie tego trendu?

Przyroda się szybko regeneruje. Ciągłe powtarzam, nie tylko ja zresztą, że obecnie jesteśmy zmuszeni do przeznaczania terenów pod retencję wody. To już konieczność. Tak samo jak przeznacza się tereny pod zalesienia. Innymi słowami: należy wyłączać te tereny z użytkowania gospodarczego i mieszkalnego. Przede wszystkim te zagrożone powodziami. Rzeka musi się rozlać i przekierować tę wodę

do gruntu, a nie szybko spłynąć do morza. Musimy dokonać wyboru.

Był pomysł budowania oczek wodnych, aby gromadzić wodę z opadów na własne potrzeby. Jak ocenia pan tę inicjatywę?

To nie ma większego sensu, chociaż państwo nawet dotało powstawanie takich zbiorników. Woda z tych oczek miała służyć do podlewania trawników, ogródków. Tylko po co? Woda zebrana w jakimś plastikowym pojemniku nie przesiąknie do gruntu. Im wię-

cej tej wody zebraliśmy w takim pojemniku, tym więcej jej wyparowało w powietrze, a nie dostało się do ziemi. W ciągu roku woda w gruncie wymieniana jest w 5-10 procentach, a z takiego pojemnika potrafi wyparować i 100 procent. Taka różnica. Jedyny sens to zbieranie tej wody do podlewania ogródków za pomocą systemu, który łączy wodę z wodociągów zasilanych wodą głębinową. Z praktyki wiem jednak, że ludzie budowali małe stawki rekreacyjne, sadzili rośliny wodne, wpuszczali tam ryby.

Mieliśmy też, zarzucono co prawda na etapie analiz, pomysł przekopu i połączenia kanałem kilkunastu jezior Pojezierza Drawskiego, na czele z Jeziorem Drawskim. Miało to przyczynić się do turystycznego rozwoju regionu, ale z jakim skutkiem dla zasobów wodnych?

To był pomysł może fajnie wyglądający, ale który całkowicie zniszczyłby te jeziora. Przede wszystkim wyrównałby poziom wód w nich, a tak być nie może, bo wody gruntowe musiałyby tak samo zasilać jeziora dołączone

do tej sieci. To nie miało sensu. Ponadto troficznie, czyli pod względem jakości wody, też mógłby się wyrównać poziom w tych zbiornikach. Na szczęście pospolite ruszenie, ruch społeczny, jaki powstał wokół tego projektu, sprawił, że decydenci zmienili zdanie. Świadomość i edukacja ekologiczna robi jednak swoje.

Co nas czeka w najbliższej przyszłości? Co możemy zrobić na naszą małą, lokalną skalę, aby nie cierpieć z niedoboru wody?

Zmian klimatu regionalnie na pewno nie powstrzymamy. Jedyna rzecz, jaką możemy zatrzymać, to woda w gruncie. Im mniej będziemy prostować bieg rzek, regulować je, utrzymywać je, oczyszczając z gałęzi itp., tym tej wody będziemy mieć więcej. Nie robmy z rzek kanałów. Nie walczmy do końca z bobrami i ich działalnością, choć ich nadmiar też nie jest dobry, bo potrafią zamienić rzeki w stawy. Natura szybko sobie radzi z takimi problemami. Myślę, że 20-30 lat minimalnej ingerencji, bo przecież nie możemy całkiem zrezygnować z użytkowania rolnego ziemi, ale tam, gdzie można, to trzeba. Innej możliwości nie widzę. Przekonywanie się na poglądy o tym, co było kiedyś, nie ma dziś sensu. Starsi mówią: tu na rzece były cztery młyny i woda płynęła. Ale dziś też są cztery młyny, a rzeki nie ma. Te czasy już minęły, właśnie przez kilkaset lat regulacji rzek, ich prostowania pod potrzeby człowieka, my te rzeki i grunty pozbawiliśmy możliwości retencjonowania wody. Dlatego tej wody dziś nie ma, bo przecież 30 lat w historii Ziemi to jest sekunda. Na pewno takie okresy zdarzały się i w przeszłości, ale jednak ta woda płynęła. Wiele krajów europejskich zaczyna sobie radzić z tym, że przestaje ingerować w koryta rzek. Bo to one są najważniejsze, a nie jeziora. Jeżeli nie będzie rzek, nie będzie i jezior. Na Zachodzie wręcz renaturyzuje się rzeki, nie mówię oczywiście, że wszystkie, bo całych rzek – zwłaszcza tych wielkich – nie da się przywrócić już do stanu pierwotnego. Na przykład na Renie od połowy lat 70. XX wieku nie powstała żadna zapora, a my wciąż planujemy zwiększać liczbę progów wodnych, zapór i jazów. Im więcej naszej ingerencji, tym gorzej dla przyrody i gorzej dla nas. ©

Na dobre i na złe. Policjant



FOT. ANDRZEJ SZKOCKI



FOT. ANDRZEJ SZKOCKI

Małgorzata Klimczak
Szczecin

Mają różne charaktery, różne predyspozycje, czasami chorują. Ale zawsze wiernie służą i są wsparciem dla swoich przewodników w służbie policyjnej.

Sara to owczarek niemiecki. Jest ugodowa, lubi się przytulać i bardzo lubi dzieci. Mimo że jest szkolona do pościgu i gryzienia, to wobec dzieci jest bardzo uległa. Nawet jak wsadzą jej palce w oczy czy uszy, ona wie, że nie zrobią jej krzywdy i nie jest wobec nich agresywna, wręcz je broni.

Terier walijski Rambo to mały rozrabiaka. Lubi się bawić, coś sobie podrzucać, ciągle pobudza, dotyka. Wygląda jak świetnie tropi narkotyki.

Owczarek niemiecki Dino ma osiem lat, więc jest już starszym psem. Nie przepada za ludźmi. Nie lubi, kiedy ktoś do niego podchodzi, dotyka. Wygląda jak słodki do przytulania, ale to mylące, bo tego rodzaju atrakcji wręcz nienawidzi. Najchętniej przebywa w towarzystwie swojego przewodnika, chociaż w tej kwestii musi przemyśleć, czy ma ochotę na czułości, czy nie. Bez zastanowienia zaatakuję tego, kto zagraża jego policyjnemu partnerowi.

Owczarek niemiecki Felix też ma osiem lat, ale zachowuje

się jak wieczny szczeniak. Jest bardzo chętny do pracy i do łapania bandziorów, najchętniej cały czas by coś tropił.

Andzia, owczarek belgijski, to dama. Przynajmniej tak się zachowuje. Podczas ćwiczeń kładzie łapkę na łapkę, spokojnie, bez pośpiechu, ale jak tylko zobaczy piłkę, wychodzi z niej demon. Uwielbia zabawy z piłką. I lepiej nie być w skórze tego, kogo ona dogoni podczas pościgu.

Wszystkie psy pracują na etacie w Komendzie Miejskiej Policji w Szczecinie.

Jeden pies, wiele imion

Gdy się pies rodzi, dostaje swoje imię w hodowli. W każdym roku imiona te zaczynają się na określonej literę. To imię jest wpisane do rodowodu.

Jednak kiedy pies trafia do policji, dostaje kolejne imię. W policji jest taka sama zasada, jak w hodowli - w danym roku wszyscy nowi psi funkcjonariusze dostają imiona na konkretną literę.

Ale ostatecznie policjanci i tak nadają psom takie imiona, które im pasują, więc w gruncie rzeczy pies może mieć kilka imion, oficjalnych i nieoficjalnych.

- Był u nas jeden, który nazywał się Ile. No ale jak tu na psa policyjnego wołać Ile? - śmieje się asp. szt. Marcin Jaroszyński, psi przewodnik.

Psia akademia policyjna

Nabór psów odbywa się w Zakładzie Kynologii Policyjnej w Sułkowicach. To w tej placówce przyszli przewodnicy zdobywają wiedzę teoretyczną z zakresu taktyki i techniki użycia psów, kynologii policyjnej i tresury oraz odbywają - pod okiem doświadczonych instruktorów - zajęcia z praktycznej tresury psów. Uczą się także zasad właściwej pielęgnacji psów oraz ich żywienia. Dostają ponadto swoje umiejętności strzeleckie i podnoszą ogólną sprawność fizyczną, która jest niezbędnym elementem pracy z psem służbowym.

W zakładzie tresowane są psy patrolowe oraz patrolowo-tropiące, które poza przygotowaniem do działań przygotowanych nabywają umiejętność tropienia śladów ludzkich. Drugą ważną grupę stanowią psy do zadań specjalnych, które w obliczu rosnącej przestępczości związanej z przemytem i handlem narkotykami oraz aktami terroru tresowane są w zakresie wyszukiwania zapachów narkotyków, materiałów wybuchowych oraz zapachu zwłok ludzkich na lądzie i w wodzie, a także identyfikacji śladów zapachowych ludzi.

Obok realizowanych w powyższych specjalizacjach kursów doskonalenia zawodo-

wego, w Zakładzie Kynologii Policyjnej odbywają się atestacje, podczas których psy spełniające wymogi otrzymują certyfikaty będące formalną podstawą do wykorzystywania ich w służbie. Podobnie jest w trakcie zbiorowych zajęć kontrolnych sprawności użytkowej psów służbowych organizowanych w poszczególnych komendach wojewódzkich policji, nadzorowanych przez funkcjonariuszy Zakładu.

Jak Burek zostaje psem policyjnym

Przed przyjęciem na kurs pies jest poddawany testowi kwalifikacyjnemu, pozwalającemu określić jego stan zdrowia i predyspozycje do służby w policji. Przyjęty do tresury pies otrzymuje nazwę służbową i numer ewidencyjny, a ponadto wszczepia się mu chip. Za pomocą elektronicznego czytnika można szybko odczytać dane i porównać z tymi zawartymi w książce psa służbowego.

- Pies musi przejść odpowiednie testy, między innymi odporności na strzały, samodzielności, reakcji w nietypowych sytuacjach - w otoczeniu innych psów, w pomieszczeniach zamkniętych, w ciemności. My to wszystko sprawdzamy i mamy kilka minut, żeby wyluskać odpowiedniego psa z ogółu. Jeżeli pies prze-

jdzie test, jest wprowadzany do rejestru policji. Jedzie do niego przewodnik i przechodzi kurs - mówi asp. szt. Marcin Jaroszyński.

Jest jeszcze druga opcja pozyskania psów, kiedy to koordynator wojewódzki policji sam szuka czworonogów. Najlepiej jest wziąć psa, który ma rok lub dwa lata. Chodzi o dojrzałość fizyczną i emocjonalną zwierzęcia. Od razu przeprowadzana jest selekcja psów pod kątem ich cech charakterów i umiejętności. Sprawdza się, jak pies pracuje nosem, czy jest w pracy pobudzony. Pies szkolony do pracy przy materiałach wybuchowych nie powinien być pobudzony, raczej odwrotnie. Natomiast pobudzony pies będzie się nadawał do pracy przy narkotykach.

Szkolenie trwa około pół roku, a potem pies może służyć do 10 lat. Co roku przeprowadzane są atesty, żeby stwierdzić, czy nadal nadaje się do służby, co pół roku przechodzi badania weterynaryjne. Na emeryturze pies pozostaje na etacie komendy i albo trafia do domu przewodnika, albo pozostaje w ośrodku policji.

Codziennosc przewodnika i psa

Kandydat na przewodnika wie, że z takim psem spędzi kilka lat i musi się liczyć z tym,

że będzie pracował z nim do psiej emerytury.

- Praca ta polega na więzi, więc jeżeli biorę psa, to pracuję z nim do końca. Staramy się nie przekazywać psów innym policjantom - mówi asp. szt. Marcin Jaroszyński.

- Nie ma takiej możliwości, żeby te psy zostawiać. One chcą cały czas być z nami, chcą pracować. Jak wyjeżdżam na tydzień na wakacje i koleśdy przez ten czas zajmują się psem, to on po moim powrocie niemal roznosi kojec - śmieje się sierż. szt. Patryk Binięda.

- Mam dzisiaj wolne, ale wpadłem na chwilę, żeby wyjść na spacer ze swoim psem - mówi asp. Piotr Szczepanowski. - Ale to jest nasza pasja. Zabieramy psa na spacer, różnie wycieczki. To nie jest tak, że po pracy zamykam go w kojcu i już nim się nie interesuję. Czasami spędzam z nim więcej czasu niż z własnym dzieckiem.

Na co dzień psy przebywają na terenie ośrodka policyjnego, ale policjanci mogą je też zabierać do domu.

- Z reguły mamy pod opieką dwa psy. Nie wszystkie się lubią i nie każdy policjant ma w domu warunki do trzymania czworonoga. Ja mieszkam w bloku i jeżeli mam psa patrolowo-tropiącego, to jest to groźny pies. Szkolony do po-

i pies. Partnerzy na służbie



FOT. ANDRZEJ SZKOCKI

ścigów, do gryzienia. I on może zrobić krzywdę, dlatego przewodnik musi ocenić, czy takiego psa może zabrać do domu - tłumaczy asp. szt. Marcin Jaroszyński. - Czy może pozwolić swojej żonie i dzieciom wyjść z takim psem na spacer. Jeśli nie, to pies zostaje w kocy. On tutaj nie ma źle, warunków bardzo dobre. My jesteśmy w służbie z nimi 12 godzin co drugi dzień, ale też w czasie wolnym. Kiedy chcemy wyjechać, opiekę nad psem przejmuje kolega. Psy nas wszystkich znają.

Psy potrafią też sprawić, że każdy dzień jest niepowtarzalny. Nie ma służby, żeby się nie działo coś ciekawego. Psy odnajdują zaginione osoby, łapią złoczyńców. Kiedyś jeden z nich został przetransportowany dźwigiem na statek na terenie Stoczni Remontowej w Szczecinie, gdzie ukrywał się ścigany. To było wielkie przeżycie zarówno dla przewodnika, jak i dla psa.

- My jesteśmy w stanie każdą sytuację przeanalizować, ale pies musi nam zaufać, żeby zrobić to, czego od niego oczekujemy - opowiada asp. szt. Marcin Jaroszyński. - Takich sytuacji jest wiele. Na przykład ruchome schody na dworcu są dla psa czymś zaskakującym. Podróż pociągiem też może go zaskoczyć, bo on siedzi, a widok

za oknem się porusza. Bardzo dużo psów jest zaskoczonych. Najgroźniejszy pies może w pociągu usiąść i nie wie, co zrobić.

Historie osobiste

- Wstępując do policji, od początku marzyłem o tym, żeby pracować z psem - mówi sierż. szt. Patryk Binięda. - Od początku mojej kariery, od 2017 roku, pracuję jako przewodnik. Od dziecka wychowywałem się w otoczeniu owczarków niemieckich, zawsze to lubiłem, więc połączyłem dwa marzenia - praca w policji i praca z psem.

- Ja też marzyłem o pracy z psami, ale nie miałem warunków do trzymania czworonoga - mówi asp. szt. Marcin Jaroszyński. - Zawsze mi się podobały owczarki niemieckie. Czasami sobie nawet żartuję, że psy dzielimy na owczarki niemieckie i inne. Spełniam się w tej pracy, bo, podobnie jak kolega, łączę pracę policjanta z miłością do psów. Czasami lepiej mi się pracuje ze zwierzęciem niż z człowiekiem.

- U mnie było trochę inaczej, bo na początku nie pracowałem z psami, ale współpracowałem z przewodnikami. Przyglądałem się, jak oni pracują, i jak tylko pojawił się wolny wakat, to przeniósłem się, pojechałem na szkolenie

i tak zostało do dzisiaj - mówi asp. Piotr Szczepanowski.

Najtrudniejsze chwile są wtedy, kiedy pies choruje albo odniósł obrażenia podczas akcji. Przy takim przywiązaniu do psów przewodnicy, mimo przytomności umysłu i szybkiego działania, bardzo przeżywają cierpienie swojego przyjaciela.

- Kiedyś mieliśmy akcję nad Jeziorem Głębokim i w krzakach był dzik. Mój pies został bardzo poważnie zraniony. Pojechałem szybko do weterynarza, tam został operowany. Wydawało mi się, że wszystko jest ok, ale potem myśliwi mi powiedzieli, że po takim spotkaniu z dzikiem pies mógł nie przeżyć - mówi asp. szt. Marcin Jaroszyński.

Każdy przewodnik ma przy sobie specjalną apteczkę dla psa.

- Jeżeli pies zostaje zraniony, natychmiast działamy. Jesteśmy pod tym kątem również przeszkoleni - mówi asp. Piotr Szczepanowski. - Psy chorują tak jak ludzie, na różne choroby, na raka. Nie wszystkie dożywają emerytury, więc jak pies odejdzie, to nie tylko jego przewodnikowi jest smutno, ale i całej ekipie. To nie jest tylko więź pies - przewodnik. Wszyscy tworzymy małą społeczność. I zdarzają się lzy.

©P



FOT. ANDRZEJ SZKOCKI



FOT. ANDRZEJ SZKOCKI



FOT. ANDRZEJ SZKOCKI

W jasełkach leży! Przybieżajcie!

Piotr Piotrowski
Kościół katolicki

6 stycznia ulicami ponad 800 miejscowości w Polsce i na świecie przejdzie Orszak Trzech Króli - to zaproszenie do radosnych, kolędowych obchodów Święta Objawienia Pańskiego. Królowie Azji, Europy i Afryki będą wędrować do stajenki, gdzie pokłonią się nowonarodzonemu Jezusowi.

Fenomen polskich orszaków świątecznych nie przestaje zadziwiać - w roku na rok do grona miejscowości, które organizują świąteczną paradę, dołączają kolejne. Wśród nich są wielkie miasta, mniejsze miejscowości, a nawet wsie, w których mieszkańcy spontanicznie przygotowują przemarsze drogami, połączone z kolędowaniem, przedstawieniami i modlitwą.

Nowe akcje

Tegoroczne hasło wydarzenia brzmi: „W jasełkach leży!” Hasło orszaku AD 2024 zwraca uwagę na tradycję przedstawień jasełkowych zapoczątkowanych 800 lat temu przez św. Franciszka w Greccio we Włoszech. Stamtąd tradycja rozprzestrzeniła się na cały świat i wciąż zachęca kolejne pokolenia do tworzenia bożonarodzeniowych widowisk.

Jednocześnie hasło w języku polskim mówi o Dzieciątku leżącym w jasełkach. To wskazuje na żłóbek, dawniej nazywany jasełem.

Prosty i ubogi kieruje nasze serca ku potrzebującym. Fundacja Orszak Trzech Króli zachęca wszystkich do wsparcia modlitewnego i finansowanego jedyne na Litwie Hospicjum dla dzieci, założone przez siostrę Michaelę Rak, które co roku otacza darmową opieką 400 chorych i ich rodziny - informują organizatorzy tegorocznego orszaku.

Organizatorzy zainicjowali też Orszakowy Challenge Jasełkowy. Akcja polega na przygotowaniu fotografii rodziny w przebraniach jasełkowych - Maryi, Jezusa, Józefa, aniołów, pastuszków, królów - i wstawianiu fotografii na media społecznościowe, nominując do tego zadania kolejne osoby. Inicjatywie towarzyszy zbiórka charytatywna na wspomnianie już hospicjum na Litwie.

Orszakowi Trzech Króli towarzyszą też inne konkursy. Organizowana jest również akcja pt. „List do Dzieciątka Jezus”, skierowana do dzieci, które zwracają się do Jezusa z intencjami. Szczegółowe in-



Zdjęcia archiwalne: pochód Trzech Króli w Słupsku

formacje na stronie: www.orszak.org.

Polski pomysł

Pomysł na orszak kielkował od 2004 r. zainicjowanej w szkole dla chłopców „Żagle” akcji, prowadzonej przez Stowarzyszenie „Sternik”.

O początkach akcji wspomina Piotr Giertych: - Wyznaczyliśmy sobie ambitny cel: przygotujemy tradycyjne polskie jasełka, w których każdy z uczniów, który zechce wystąpić, otrzyma swoją rolę. Wraz

ze wzrostem szkoły, gdy liczba uczniów przekroczyła 170, by móc wystawić te jasełka musieliśmy wynająć warszawski Teatr Buffo. Liczba miejsc na widowni okazała się niewystarczająca: chętnych było tak wielu, że wystawialiśmy nasze jasełka dwa razy. Pamiętam, jak po spektaklu staliśmy na ulicy przed teatrem, zastanawiając się, co robić dalej - bo wiedzieliśmy, że ten projekt będzie się rozrastał. Byliśmy we trzech, Jerzy Stokłosa, dyrektor Teatru Buffo, Piotr Podgórski, dyrek-

tor generalny Stowarzyszenia „Sternik”, i ja, który byłem wicedyrektorem szkoły „Żagle”. Wtedy rzuciłem hasło, żeby zrobić jasełka na ulicy. Zapaliliśmy się do tego pomysłu i zaczęliśmy szukać kolejnych osób do udziału w projekcie i rok później zorganizowaliśmy uliczne jasełka już pod nazwą Orszak Trzech Króli. Wówczas wszystkimi rycerzami w orszakach byli uczniowie szkoły „Żagle”. Podobnie było w 2010 r., a gdy w 2011 r. Parlament zdecydował, że 6 stycznia będzie

dniem wolnym od pracy, dołączyło do nas 17 szkół warszawskich, a także 5 kolejnych polskich miast. I tak lawina ruszyła - mówił w rozmowie z KAI.

Każdego roku przybywa ok. 100 nowych orszaków. Prócz Polski, dołączają się także inne kraje, głównie za sprawą Polonii, która tęskni za polskimi tradycjami i takim bożym przeżywaniem Świąt. Uliczne jasełka odbywają się w polskich środowiskach m.in. w Niemczech, Anglii, w Rumunii, Austrii, we Włoszech, na Ukrainie, a także

poza Europą, np. w Stanach Zjednoczonych, Ekwadorze, Republice Środkowoafrykańskiej, Rwandzie, czy Republice Demokratycznej Konga.

Według Piotra Giertycha orszaki niosą też inne wartości niż tylko wizualne czy towarzyskie. Przede wszystkim religijne.

- Ja zawsze podkreślam, że w centrum orszaku jest Jezus Chrystus. Idziemy do szopki, by pokłonić się Królowi. Śpiewamy kolędy i przyznajemy się do tego, że Jezus jest dla nas ważny. Poza tym, od samego początku nasz orszak jest otwarty dla wszystkich: zapraszamy każdego, by pokłonił się Jezusowi i śpiewał z nami kolędy - tak, jak śpiewa się je w wielu polskich domach, nawet w rodzinach oddalonych wiary. Orszak to zaproszenie także dla niepraktykujących, by doświadczyli ciepła betlejemskiej Stajenki - otwartej dla każdego. Tym bardziej że święto Epifanii przypomina nam, że Bóg jest gotów przyjąć każdego, że On jest dla wszystkich, także tych, którzy starają się do niego dotrzeć rozumem, a nie wiarą. Tak, jak Trzej Królowie, którzy nie znali Objawienia. Oni studiowali przyrodę, kosmos i doszli do wniosku, że wydarzyło się coś wyjątkowego: narodziny króla, któremu należy się pokłonić. Są przedstawicielami świata pogańskiego, do którego Chrystus także kieruje swoje zaproszenie! - dodaje.

Tradycja

Uroczystość Objawienia Pańskiego, potocznie zwana świętem Trzech Króli, jest najstarszym znanym wspomnieniem chrześcijańskim, odnoszącym się do narodzin Jezusa Chrystusa. Obchodzona była nawet wcześniej niż Boże Narodzenie. Upamiętnia ukazanie się światu Boga w postaci betlejemskiego Dzieciątka.

Według ewangelisty Mateusza, w stronę miejsca narodzin Mesjasza za gwiazdą podążali z pokłonem Trzej Mędrcy ze Wschodu. Ofiarowali oni dary: złoto, kadzidło i mirrę. Na pamiątkę tego wydarzenia do dziś na mszach św. błogosławi się kadzidło i krede. Wierni zabierają je do domów, a na drzwiach wypisują tradycyjne K + M + B wraz z oznaczeniem aktualnego roku.

W Polsce od wieków umacniała się tradycja radosnego świętowania Epifanii. Jednak w 1960 r. komunistyczny rząd, walcząc z Kościołem, obniżył rangę święta, czyniąc je dniem pracy. Dzięki katolickim aktywistom i licznym zbiórkom podpisów w 2010 r. Sejm RP ponownie ustanowił 6 stycznia dniem wolnym od pracy. ©©

Napady padaczki niszczyły mózg dziecka. Aż wkroczyli chirurdzy. Jest nadzieja!

Leszek Wójcik
Szczecin

Dwa dni po skomplikowanej, trwającej kilka godzin operacji 8-letnia pacjentka wróciła do domu. Jest szansa, że całkowicie wyzdrowieje. A miała nawet kilka napadów padaczki dziennie!

Szczeciński szpital „Zdroje” jest drugim ośrodkiem w Polsce (po warszawskim Centrum Zdrowia Dziecka), w którym operacyjnie leczy się padaczki. To jeszcze dosyć rzadko stosowana metoda. W Europie tylko kilka specjalistycznych placówek medycznych dysponuje sprzętem i aparaturą umożliwiającą tego typu zabiegi.

Mała pacjentka nr 1

Dziewczynka, która jako pierwsza w Szczecinie poddała się tej operacji, mieszka w Poznaniu. Ma osiem lat. Cierpi na padaczkę lekooporną, czyli niepoddającą się żadnej terapii farmakologicznej. Do tej pory zmagająca się z kilkoma, a nawet kilkustoma napadami dziennie.

- To groziło opóźnieniem jej rozwoju - mówi prof. Leszek Sagan z Oddziału Klinicznego Neurochirurgii Dziecięcej.

We wtorek, 19 grudnia ub. roku, w szpitalu w szczecińskich Zdrojach dziewczynka przeszła wyjątkowo skomplikowaną operację polegającą na laserowym usunięciu z mózgu ogniska padaczkorodnego. Zabieg wykonał zespół specjalistów pod kierownictwem neurochirurga prof. Leszka Sagana.

Rokowania są pomyślne

Jak się dowiedzieliśmy, obecnie trudno powiedzieć, czy dzięki interwencji neurochirurga całkowicie została usunięta przyczyna ataków i czy dziewczynka może zapomnieć o chorobie - to się okaże w przeciągu roku. Na razie jednak dziecko nie ma ataków.

- Przed wypisem naszej pacjentki do domu rozmawiałem z jej mamą - mówi Łukasz Tyszyński, dyrektor SPSZOZ „Zdroje”. - Jeszcze nie wierzyła w to, co się stało. A przecież stało się bardzo dużo. Jej dziecko nie ma objawów choroby, która do tej pory nie poddawała się żadnemu lewowi. Pamiętajmy o tym, że ataki padaczki są tak wyczerpujące, iż mogą wpłynąć na dalszy roz-



Zdjęcie ilustracyjne. Szpital w Zdrojach jest drugim w Polsce (obok Centrum Zdrowia Dziecka) i jednym z nielicznych w Europie oferującym możliwość operacyjnego leczenia padaczki i to na najwyższym światowym poziomie

wój dziecka. Ta kobieta o tym wiedziała. Dlatego w jej oczach widziałem radość, niewiarę, że się udało, obawę, że ataki powrócą, i nadzieję, że tak się nie stanie.

Ośmiolatka została wypisana ze szpitala już dwa dni po operacji.

- Kiedy na drugi dzień po zabiegu szłam ją odwiedzić, byłam przekonana, że będzie leżeć w łóżku, jak każdy pacjent po ciężkiej operacji - przyznaje Magdalena Knop, rzeczniczka prasowa SPSZOZ. - Nie mogłam uwierzyć, kiedy ją zobaczyłam biegającą po korytarzu. O tym, że w szpitalu nie jest przypadkiem, świadczył jedynie mały plaster na czole. To było naprawdę niezwykle.

Lekarze twierdzą, że rokowania są pomyślne. Wydaje się więc, że operowane niedawno dziecko wróci do zdrowia.

Laserem w punkt

Przy operacyjnym leczeniu padaczki lekoopornych zabiegowcy mogą osiągnąć trzy cele.

- Do najbardziej pożądanego dochodzi, kiedy po usu-

nięciu ogniska padaczkorodnego napady całkowicie ustają, a pacjent nie musi brać leków - tłumaczy prof. Sagan. - Drugim celem jest osiągnięcie stanu, w którym mamy do czynienia z brakiem napadów, ale chory musi brać leki przeciwdrgawkowe. I trzeci cel, kiedy uda się nam zredukować liczbę napadów - w tym przypadku cały czas należy stosować leczenie.

Oczywiście, przystępując do operacji, lekarze liczą na osiągnięcie pierwszego celu. Mają nadzieję, że tak będzie również w przypadku chorej dziewczynki z Poznania. Próbując ją uleczyć, przeprowadzili pierwsze w tym szpitalu laserowe usunięcie ogniska powodującego ataki padaczki pod kontrolą rezonansu magnetycznego.

Również po raz pierwszy podczas zabiegu został wykorzystany laser Visualase, służący do niszczenia głęboko umiejscowionych w mózgu ognisk patologicznych. Urządzenie to jest elementem ultranowoczesnego zestawu do diagnozowania i leczenia

neurochirurgicznego padaczki przekazanego „Zdrojom” przez Fundację Wielka Orkiestra Świątecznej Pomocy.

- Jeśli chodzi o sprzęt, na świecie nie ma nic lepszego - podkreśla prof. Leszek Sagan. - Nasz ośrodek nie różni się pod tym względem od placówek w USA czy zachodniej Europie. Specjaliści na całym świecie nie mogą zaoferować pacjentom z padaczką lekooporną nic więcej.

Światłowód w mózgu

Jak przyznają specjaliści wykonujący zabieg, niedawna operacja była ogromnym wyzwaniem także pod względem logistycznym. Wykonywano ją bowiem w dwóch miejscach kompleksu szpitalnego.

Pierwszy etap był przeprowadzony na bloku operacyjnym, gdzie neurochirurdzy, wykorzystując neuronawigację i specjalnego robota, wykonali w kości czaszki niewielki otwór (3,2 mm), przez który wprowadzili w głębokie struktury mózgu bardzo cienki cewnik z przewodem światłowodowym. Wprowadza się go

dokładnie w punkt, który należy usunąć, bo jest patologią.

- Używamy do tego robota neurochirurgicznego - co z kolei, oprócz zapewnienia precyzji, zdecydowanie skraca czas operacji - podkreśla Łukasz Tyszyński.

W dalszym etapie operacji dziewczynka została przetransportowana do pracowni rezonansu magnetycznego. Tam zespół specjalistów przeprowadził laserową ablację (usunięcie) tkanek będących źródłem napadów padaczkowych. Neurochirurdzy mogli na bieżąco kontrolować czas i ilość energii lasera dostarczanej do tkanek mózgu dzięki stałemu monitorowaniu przez elektrodologów obrazu RM - w czasie rzeczywistym. Obrazowanie umożliwiło śledzenie zmian temperatury tkanek i uzyskanie stopień ich uszkodzenia.

- A zastosowanie limitów bezpieczeństwa temperatury pozwoliło chronić krytyczne struktury mózgu i pozostawić nienaruszone zdrowe tkanki - tłumaczy Leszek Sagan.

Jak podkreślają lekarze, ogromną zaletą tej metody

operacyjnej jest jej minimalna inwazyjność. Dzięki temu pacjent szybko wraca do zdrowia - choć trudno w to uwierzyć, nasza ośmiolatka święta spędziła w domu!

Z czym lekarze mieli do czynienia?

Padaczka lekooporna dotyczy spory odsetek chorych na padaczkę. To są chorzy, którzy nie znajdują pomocy w żadnym innym leczeniu niż chirurgiczne.

Codziennie, często kilka razy na dzień, mają napady padaczkowe, które ogromnie przeszkadzają im w życiu. Stanowią wręcz zagrożenie życia. A jeśli chodzi o dzieci, hamują prawidłowy rozwój.

Czym jest atak w padaczkę? To zaburzenie przytomności. Można je porównać do krótkiego spięcia elektrycznego. Na ten krótki czas mózg się zeruje. Jeśli napad się często powtarza, człowiek żyje od spięcia do spięcia. To całkowite rozstrojenie życia - co oczywiście odbija się nie tylko na zdrowiu fizycznym, ale i na psychice chorego. ©©

Zabójstwo w celi 209 osądzone

Mariusz Parkitny
Szczecin

W 10-osobowej celi Zakładu Karnego w Nowogardzie zabito więźnia. Wiadomo, że musiały to zrobić dwie osoby. Jedną udało się ustalić. Drugą sąd uniewinnił. Szokuje motyw zabójstwa.

- Tu nie ma okoliczności łagodzących - mówiła sędzia Katarzyna Cichocka, uzasadniając wyrok dożywocia dla Marcina P. za uduszenie współwięźnia. Drugi z oskarżonych, Dominik S., został uniewinniony.

Nieprawomocny wyrok w sprawie zabójstwa w celi więzienia w Nowogardzie zapadł przed Sądem Okręgowym w Szczecinie. To nie była prosta sprawa, bo feralnej nocy w wieloosobowej celi przebywało aż dziewięciu osadzonych. Czterech, w tym ofiara i dwaj główni oskarżeni, to tzw. gity, czyli członkowie grypsery, więziennej subkultury. Pozostali się ich bali, dlatego początkowo w śledztwie wszyscy milczeli i zapewniali, że spali i nie wiedzą, dlaczego kompan z celi umarł. Potem niektórym języki się jednak rozwiązały. Dlatego prokuratura początkowo śledztwo w sprawie nieumyślnej śmierci zakończyła postawieniem zarzutów zabójstwa dwóm „gitom”, a pozostałym składania fałszywych zeznań i utrudniania postępowania.

- W nocy z 30 na 31 marca 2021 roku w Zakładzie Karnym w Nowogardzie, działając wspólnie i w porozumieniu ze sobą, z zamiarem bezpośrednim, poprzez zamknięcie dróg oddechowych przy pomocy narzędzia miękkiego oraz uciskając kolanem górną część klatki piersiowej i przytrzymywanie za nogi broniącego się pokrzywdzonego, pozbawili go życia, uniemożliwiając oddychanie - oskarżał prokurator.

Mariusz i Marcin

Ofiara to więzień Mariusz K. Został uduszony w nocy z 30 na 31 marca 2021 r. Biegli lekarze nie mieli wątpliwości, co było przyczyną zgonu, choć nie udało się ustalić, czy sprawcy użyli ręcznika, czy poduszki. Wiadomo, że w trakcie kilkunastuminutowego duszenia zabójców musiało być co najmniej dwóch. Jeden dusił, drugi przytrzymywał nogi ofiary.

- Przyczyną zgonu było uduszenie, a nie działanie środków odurzających - mówił prof. Mirosław P., który podpisywał protokół z sekcji zwłok Mariusza K.



Marcin P. w drodze na salę sądową w asyście policjantów



Oskarżeni docierali na salę rozpraw pod wyjątkowo silną eskortą

Na kolejnych przesłuchaniach w prokuraturze kilku współwięźniów zaczęło zmieniać zeznania. Okazało się, że w noc zabójstwa jednak coś widzieli i słyszeli. Dlatego prokuratura zarzut zabójstwa postawiła Dominikowi Sz. oraz Marcinowi P.

Według ustaleń prokuratury i sądu motyw zabójstwa

był wyjątkowo błahy. Pokrzywdzony miał nabrudzić w celi, a pozostali osadzeni mieli po nim posprzątać.

Dla „gitów” to najzwyczajniej złamanie zasad grypsery. Marcin P. miał mieć pretensje do Mariusza K. za to, że bierze dopalacze i przeszkadza podczas ćwiczeń siłowych w celi.



Jeden z budynków Zakładu Karnego w Nowogardzie. To właśnie tam rozegrał się dramat osądzony przez sąd

- Razem z pokrzywdzonym i jeszcze jednym współwięźniem należeli do subkultury grypsujących, tzw. gitów. Uznali, że Mariusz K. zachowuje się niegodnie, łamie zasady grypsery. Dlatego jeden chwycił pokrzywdzonego za nogi, a drugi zatkał mu drogi oddechowe. Mariusz K. dusił się od kilku do kilkunastu minut. Był silny, dlatego walcząc o życie, uderzał częściami ciała o metalowe elementy pryczy. Stąd właśnie powstały obrażenia na jego ciele - oskarżał prokurator Hubert Kołtuniak.

- Jestem niewinny. Byłem przyjacielem Mariusza. Razem jedliśmy i ćwiczyliśmy w celi - mówił Marcin P.

Skazany na dożywocie Marcin P. to recydywista. Był już karany m.in. za rozbój. Wyrok przyjął spokojnie. Nawet uśmiechnął się do znajomych i rodziny, którzy przyszli wspierać go podczas ogłoszenia orzeczenia.

- Jestem niewinny - powiedział po decyzji sądu.

- Motywacja zbrodni była szczególnie płytka. Marcin P. chciał dominować w celi - uzasadniał sąd karę dożywocia.

- To nieprawda. My się przyjaźniliśmy - mówił w ostatnim słowie Marcin P.

Pogrążyły go wyjaśnienia jednego ze współwięźniów, którego pryczy była nad łóżkiem Mariusza K. Świadek przyznał, że widział z góry, jak Marcin P. zakrywa usta Mariuszowi K. Nie widział natomiast, kto przytrzymywał nogi duszonemu.

O tym, że tą osobą był Dominik S., przekonywał prokuratora kolejny współosadzony. Sęk w tym, że podczas kolejnych przesłuchań zmieniał wersję.

- To, co mówił, jest niewiarogodne, a podstawowa zasada prawa karnego nakazuje rozstrzygać wątpliwości na korzyść oskarżonego. Dlatego Dominik S. zostaje uniewinniony - uzasadniała sędzia Katarzyna Cichocka.

Dominik S. prosto z sali rozpraw mógł wrócić do domu po załatwieniu formalności.

- Od samego początku przekonywałem, że mój klient jest niewinny - mówił mec. Andrzej Mataj, obrońca Dominika S.

Biegły od hałasu

Sąd skazał na osiem miesięcy więzienia dwóch kolejnych oskarżonych, którzy składali fałszywe zeznania. Kilku następnych zostało uniewinnionych. Sąd dał wiarę, że nic w nocy nie słyszeli.

Przeprowadzono nawet eksperyment procesowy w obecności specjalisty od akustyki. Orzekł, że hałas w noc zabójstwa (ofiara broniła się, uderzając ciałem o łóżko) mógłby obudzić ok. 30 procent populacji.

W tej sprawie na wyrok czeka jeszcze jeden mężczyzna, który w noc zabójstwa był w celi. Prokuratura zarzuca mu składanie fałszywych zeznań. Proces jednak nie może się rozpocząć, bo mężczyzna po wyjściu na wolność zniknął.

Wyrok nie jest prawomocny. ©

KSIAŻKI

Zabiłam

Natalia Ojewska



Wydawnictwo Słowne. Rozwinięcie tytułu: „Historie matek skazanych za zbrodnie ludobójstwa w Rwandzie”. Od wydawcy: „Szacuje się, że w Rwandzie w 1994 r. w ciągu 100 dni z rąk ekstremistów Hutu zginęło około miliona Tutsi. Kobiety stanowią ok. 10% wszystkich sprawców skazanych za zbrodnie ludobójstwa. Książka opowiada historie dziesięciu kobiet, które odbyły lub jeszcze odbywają karę więzienia - ich motywacje, popełnione czyny, zmagania z ciężarem zbrodni, przygotowania do wyjścia na wolność i trudności w powrocie do rodziny i społeczeństwa. Prerażające świadectwo, dla czytelników o mocnych nerwach. **(MARA)**

Pięć ran

Kirstin Valdez Quade



Wydawnictwo Znak. Od wydawcy: „W mieście Las Penas trwa Wielki Tydzień, kiedy szesnastoletnia Angel ucieka z domu matki do ukochanej babci, Yolandy, i ojca, Amadeo, którego praktycznie nie zna. Dziewczyna jest w ósmym miesiącu ciąży. A Yolanda zamierza zebrać swoją rodzinę przy jednym stole, podać im najlepszy świąteczny obiad w życiu, a następnie poinformować, że umiera na złośliwego guza mózgu. Kirstin Valdez Quade, której opowiadania okrzyknięto na łamach „New York Timesa” arcydziełami, w swoim debiucie snuje poruszającą opowieść o przełomowym roku z życia pewnej niezwykle kilkupokoleniowej rodziny”. **(MARA)**

Porodzina

Natalia Fiedorczyk



Wydawnictwo Słowne. Na przedmieściach średniej wielkości miasta mieszkają rodziny do bólu zwyczajne, chociaż i tutaj trafiają się niekiedy barwne osobowości. Rodzina Waszczyńskich jest idealna. Młode małżeństwo z dwójką dzieci jest niczym wycięte z folderu reklamowego. Są piękni, zamożni, lubiani i szanowani przez sąsiadów. Pewnego dnia znikają bez śladu. Nic nie wskazuje na wyjazd. Nikt z sąsiadów nie zauważył niczego podejrzanego, a duszna małomiasteczka atmosfera nie ułatwia śledztwa”. Niby kryminał, ale raczej bardziej powieść o przemocy psychologicznej. Podane bez znieczulenia. Dobry przykład gatunku domestic noir. **(MARA)**

Miej lepszy dzień

Alex George



Wydawnictwo Insignis. Od wydawcy: „Nazywam się Alex, jestem lekarzem oraz ambasadorem zdrowia psychicznego dzieci i młodzieży. Przedstawiam zestaw kół ratunkowych i praktycznych technik, które pomogą ci zadbać o twoje zdrowie psychiczne. Nauczysz się rozpoznawać, kiedy twój umysł potrzebuje odpoczynku. Zaczynasz chodzić na spacer, żeby wytupać smutek. I wyzwolisz swoją kreatywność, żeby przestać mózgu w bardziej pozytywny tryb działania. Poradnik ten nauczy cię spoglądać w przyszłość z przekonaniem, że dasz radę”. Niezły poradnik przeznaczony dla młodego czytelnika. Prosty język, czytelny układ. **(MARA)**

Uwięzieni w grze

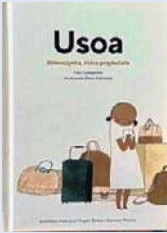
Dustin Brady



Wydawnictwo Muza. Tom pierwszy cyklu „Uwięzieni w grze”. Od wydawcy: „Jasie nie znosi gier. Ale gdy pewnego dnia otrzymuje tajemniczo brzmiący esemes od najlepszego kumpla Erica, maniak gier, który totalnie odleciał na punkcie najnowszej produkcji zatytułowanej Pełna Moc, a następnie odkrywa, że Eric gdzieś nieoczekiwanie zniknął, zostawiwszy wątpliwą grę, postanawia spróbować. Klikając na kontrolerze przycisk potwierdzający chęć rozpoczęcia gry, Jesse nawet sobie nie wyobraża, w jakie tarapaty się wpakował”. Lektura dla młodszych czytelników, wciągająca jak... gra komputerowa :) **(MARA)**

Usoa

Patxi Zubizarreta



Wydawnictwo Widnokrąg. Od wydawcy: „Usoa, czyli Gołąbka, to imię dziewczynki, która przyleciała... z Afryki, z kraju ogarniętego wojną, w którym panował głód i niedostatek. Przyleciała samolotem – bez bagażu, zupełnie sama. Jedyne, co miała, to list, który ścisnęła w dłoniach. Kto go napisał? Do kogo był adresowany? Czy może jej znaleźć dom? Historia, w której można znaleźć radość mimo smutku, miłość mimo straty i nadzieję. Opowieść uzupełniają delikatne, lekkie i subtelne ilustracje światowej klasy ilustratorki Eleny Odriozola”. Ładnie wydana książeczka dla małych dzieci o trudnych sprawach. **(MARA)**

DROBNE

Jak zamieścić ogłoszenie drobne? Telefonicznie: 94 347 35 12
Przez internet: ibo.polskapress.pl
W Biurze Ogłoszeń:

Oddział Koszalin: ul. Mickiewicza 24, 75-004 Koszalin, tel. 94 347 35 12
Oddział Słupsk: ul. Henryka Pobożnego 19, 76-200 Słupsk, tel. 59 848 81 03
Oddział Szczecin: Al. Niepodległości 26/U1, 70-412 Szczecin, tel. 91 48 13 310

RUBRYKI W OGŁOSZENIACH DROBNYCH:

- NIERUCHOMOŚCI

■ HANDLOWE

■ MOTORYZACJA
- FINANS/BIZNES

■ NAUKA

■ PRACA
- ZDROWIE

■ USŁUGI

■ TURYSTYKA
- BANK KWATER

■ ZWIERZĘTA

■ ROŚLINY, OGRODY
- MATRYMONIALNE

■ RÓŻNE

■ KOMUNIKATY
- ŻYCZENIA

■ /PODZIĘKOWANIA

■ GASTRONOMIA
- ROLNICZE

■ TOWARZYSKIE

Nieruchomości

MIESZKANIA - KUPIĘ

KUPIĘ mieszkanie, proszę o tel. 512637469

REKLAMA 0010986208

OMEGA

WYCENY

OBRÓT

SŁUPSK, UL. STARZYŃSKIEGO 11

tel. 59 841 44 20

601 654 572

www.nieruchomosci.slupsk.pl

omega@nieruchomosci.slupsk.pl

AUTOPROMOCJA

GŁOS

POMORZA

Dzień dobry w **poniedziałek**

gp24.pl

Handlowe

INNE

SPRZEDAM sprzęt po likwidowanej firmie sprzątającej - wózki, maszyny szorujące, odkurzacze. Koszalin, 602746896.

Motoryzacja

OSOBOWE KUPIĘ

A do Z skup-skupujemy każde pojazdy, płacimy nawet za wraki, oferujemy najwyższe ceny, 513109288

AUTO skup wszystkie

695-640-611

USŁUGI

TLUMIKI, katalizatory, złącza. Czekaj Zbigniew. Koszalin, Szczecińska 13A (VIS). Tel: 501-692-322.

Praca

ZATRUDNIĘ

0010983079



Wyjdziesz jako opiekunka do Niemiec lub Holandii i zarobisz nawet

do 2000€ netto na rękę

+48 500 401 901

Zdrowie

NEUROLOGIA

SPEC. Neurolog. NFZ. Bez kolejek. Codziennie. Koszalin, 605-284-364.

INNE

ALKOHOLIZM - esperal 602-773-762

Usługi

AGD RTV FOTO

PRALKI naprawa w domu, 603 775 878

BUDOWLANO-REMONTOWE

CYKLINOWANIE bezpyłowe 502302147

REMONTY od A do Z, 660-683-933(GK)

Turystyka

KRAJ - GÓRY

FERIE - promocja 150 zł/os., 2 posiłki. TYLICZ k/Krynicy G., pok. z łaz.+TV, bilard, parking, 730-007-166

Różne

KASA za stare książki 609-643-399

AUTOPROMOCJA

ibo

TWOJE DOMOWE BIURO OGŁOSZEŃ

Ogłoszenia drobne w Twojej gazecie zlecisz bez wychodzenia z domu przez Internetowe Biuro Ogłoszeń ibo.polskapress.pl

REKLAMA 0010988016



AGENCJA MIENIA WOJSKOWEGO

Dyrektor Agencji Mienia Wojskowego Oddziału Regionalnego w Szczecinie

podaje do publicznej wiadomości, że na tablicach ogłoszeń w budynkach Agencji Mienia Wojskowego Oddziału Regionalnego w Szczecinie przy ul. Potulickiej 2 i Księcia Sambora 4, **wywieszony został wykaz części ogrodzenia o pow. 3,00 m², nieruchomości położonej w Szczecinie przy Al. Piastów 40A** (dz. nr 2/9 o pow. 0,1132 ha, obr. 1049, Śródmieście 49 KW SZ1S/00119696/4) przeznaczonego do najmu w drodze bezprzetargowej. Wszelkie informacje można uzyskać pod numerem tel. 91 447 2037 lub 697 080 490. Podstawa prawna: art. 35 ust. 1 ustawy o gospodarce nieruchomościami (t.j. Dz.U. z 2023 r. poz. 344).

Oddział Regionalny AMW w Szczecinie, 70-230 Szczecin, ul. Potulicka 2, tel. (4891) 447 20 00, fax (4891) 488 47 95, e-mail: marketing.szczecin@amw.com.pl www.amw.com.pl

WYKAZ

WYKAZ

WYKAZ

WYKAZ

HISTORIA

Charles Dickens dusi się
od londyńskiego smrodu

„Życie codzienne w Londynie Dickensa” autorstwa Judith Flanders to – jak informuje wydawca – publikacja pokazująca XIX-wieczną metropolię w okresie, kiedy jej ulicami spacerował Charles Dickens. No dobrze, ale jak ów Londyn, miejsce spacerów Dickensa, wyglądał w realu?

Tłumy mieszkańców

Zacznijmy od tego, że w XIX w. Wielka Brytania była najpotężniejszym imperium na świecie, a Londyn największą tegoż świata metropolią. Imperium rządziło i opływało w dobrobyt, ale na ulicach jego stolicy ludzie umierali z głodu.

W 1900 r. Londyn liczył ponad 6 mln mieszkańców. W mieście pojawiły się kolej, elektryczność, wydajna kanalizacja, metro, telegrafy, telefony, samochody, autobusy, kina, eleganckie domy towarowe... Populacja w ciągu stulecia wzrosła o ponad 5 mln, szybko rosły także obszar i zabudowa. XIX-wieczny Londyn był też najbogatszą metropolią świata, gdzie niewyobrażalne bogactwo sąsiadowało z niewyobrażalną nędzą.

Nędza, nędza, nędza...

Na przełomie XIX i XX w. aż jedna trzecia mieszkańców stolicy imperium żyła w skrajnym ubóstwie. Niejaki Charles Booth, który zajmował się dokumentowaniem życia codziennego i pracy mieszkańców Londynu, sporządził w 1889 r. mapę ubóstwa stolicy. Obszary, w których wegetowali ludzie bardzo biedni, pracujący dorywczo, z chronicznym niedostatkiem, zaznaczył na granatowo.

Miejsca zajmowane przez tzw. klasę najniższą, czyli lumpenproletariat, przestępców i półprzestępców oznaczył na czarno. Z kolei obszary zamieszkałe przez klasę średnią i wyższą zamarkował na czerwono. Rzut oka na mapę Booth'a pozwala stwierdzić, że w wielu częściach „najbogatszej metropolii świata” przeważają granat i czerń. Z kolei dokładniejsza mapa wykazywała aż 134 rejony ubóstwa z „około 30 tysiącami mieszkańców każdy”.

Zniewalający smród

Kolejnym problemem ówczesnego Londynu był smród, przede wszystkim od Tamizy. Flanders pisze, że od początku istnienia Londynu rzeka odgrywała istotną rolę w jego rozwoju. Była nie tylko źródłem pitnej wody, ale również szlakiem transportowym oraz głównym ściekiem.

Wraz z postępującym uprzemysłowieniem miasta do rzeki odprowadzano coraz więcej wszelkiego rodzaju zanieczyszczeń – zarówno z gospodarstw domowych, jak i z zakładów przemysłowych, np. papierni, garbarni, wazelni czy rzeźni, nie wspominając o ciałach samobójców, ofiar morderstw i skazańcach.

Gdy pierwsza połowa XIX w. przyniosła niesamowitą eksplozję demograficzną, w Londynie co rusz wybuchały epidemie czerwonki, duru brzuszego i cholery, zbierając krwawe żniwa. W 1849 roku śmiertelność była tak wysoka, że średnio ponad 2 tysiące londyńczyków umierało tygodniowo z powodu chorób.

margra



Judith Flanders, „Życie codzienne w Londynie Dickensa”, wyd. PIW, Warszawa 2023, cena 89 zł

WIEŚCI NIE Z TEJ ZIEMI

BRACIA GOLEC

Zarabiają
podwójnie

Popularna grupa Golec uOrkiestra wystąpiła ostatnio na sylwestrowej imprezie Polsatu. Plotek zapytał, ile muzycy zarobili na tym krótkim występie. – Jest taka niepisana umowa, że zawsze te stawki sylwestrowe były podwójną stawką normalnego koncertu. Czyli można normalnie sprawdzić u menedżera, ile kosztuje dany zespół i pomnożyć przez dwa. Mniej więcej tak to wygląda, bo jest to ekstradzień i ekstrawydanie – powiedział Łukasz Golec. „Super Express” sprawdził więc i dowiedział się, że za zwykły występ Golec uOrkiestra inkasuje 55 tys. zł. To oznacza, że za koncert w Chorzowie bracia zgarnęli ponad 100 tys. zł.

KAYAH

Zmieniła
menedżera

Od ponad dwudziestu lat piosenkarka prowadziła wraz z Tomkiem Grewińskim wytwórnię Kayax. W tym czasie wyrosła ona na jednego z najważniejszych graczy na rodzimej scenie pop. Grewiński był również menedżerem wokalistki i prowadził jej koncertowe zamówienia. Mało tego: w początkach wspólnej działalności był on również partnerem Kayah w życiu prywatnym. Tym bardziej wszystkich zaszokowało niespodziewane oświadczenie w internecie, w którym piosenkarka poinformowała, że Grewiński nie będzie już jej menedżerem. Obecnie koncertami Kayah zajmuje się firma ArtRoijens prowadzona przez jej byłego męża Rinke Rooijensa (aktualnie męża Joanny Przetakiewicz).

MARYLA RODOWICZ

Przeganiana
za kulisami

Po występie na Sylwestrze z Dwójką piosenkarka pożałowała się w internecie na organizację imprezy. Przede wszystkim zirytowała ją, że ochrona nie chciała jej wpuścić za kulisy, ponieważ nie miała dowodu osobistego. Co potem? „Ja mam zwyczaj stania za kulisami w pełnej gotowości, w kostiumie, co najmniej pół godziny przed wejściem



Maryla Rodowicz nie lubi zatłoczonych kulis, zwłaszcza gdy są tam osoby niezwiązane z koncertem

na scenę. To jest dosyć uciążliwe, bo za kulisami jest mało miejsca, byłam bez przerwy przeganiana z miejsca na miejsce w dość chamski sposób” – napisała wokalistka na Instagramie. I dalej: „Mocno wkurzające były lansujące się za kulisami, w trakcie koncertu, osoby zupełnie niezwiązane z imprezą, tak zwani krewni i znajomi królika”.

MAJA BOHOSIEWICZ

Przeżyła
koszmar

Celebrytka postanowiła polecieć wraz z rodziną na narty do Włoch. Niestety, wyprawa okazała się gehenną, o czym Bohosiewicz opowiedziała na Instagramie. Gdy samolot wylądował, okazało się, że firma przewozowa nie zapewnia autobusów dowożących pasażerów na lotnisko. Bohosiewicz razem z dziećmi i mężem musieli iść w nocy pieszo. Na miejscu okazało się, że duże auto, które wynajęli, już straciło rezerwację, więc w zamian zaoferowano im o wiele mniejsze. Ostatecznie małżeństwo nie dostało żadnego samochodu, natomiast w międzyczasie mąż Bohosiewicz nie mógł wrócić na lotnisko, więc Maja musiała po niego jechać taksówką. Małżeństwo udało się do najbliższego hotelu, gdzie podobno nie było pokojów, a w aplikacji widniały jeszcze miejsca. Ostatecznie otrzymali lokum, ale na końcu budynku, więc musieli razem z dziećmi i bagażami przejść przez prawie cały obiekt.

ALICJA BACHLEDA-CURUŚ

Ma wyjątkową
więź z Tatrami

Aktorka pochodzi z rodu od dekad wrośniętego w Podhale. Nic więc dziwnego, że chętnie przylatuje na urlop w Tatry. Na zamieszczonych w Instagramie zdjęciach widać, że szusowała na stokach polskich gór oraz uczestniczyła w góralskiej biesiadzie przy ognisku. Z tej okazji przydziela ciemny płaszcz z regionalnymi motywami na rękawach oraz dopasowany do niego srebrny pasek. „Zawsze miałam wyjątkową więź z górami, gdziekolwiek się udałam. Polskie góry, będące moją pierwszą miłością, były idealnym miejscem na pożegnanie starego i powitanie nowego!” – podpisała relację aktorka.

KLAUDIA HALEJCIO

Lubi luksusy

Celebrytka wybrała się z mężem na urlop na Malediwy. Niestety, na miejscu nie wszystko przypadło parze do gustu. Najpierw nie spodobała im się pogoda, bo akurat lał deszcz. Potem okazało się, że małże, które zaserwowano celebrytce i jej partnerowi, to „śmierdzące g***o”. Wszystko to na szczęście wynagradza Klaudii i Oskarowi luksusowy resort, w którym się zatrzymali. To pięciogwiazdkowy hotel, którego ceny za noc w zależności od terminu wahają się od 5 do 10 tysięcy złotych.

HOROSKOP

Wodnik (20.01 - 18.02)

Horoskop dzienny wróży, że Twoje emocje będą dzisiaj momentami niczym drzewa w czasie jesiennej burzy.

Ryby (19.02 - 20.03)

Towarzyszyć Ci będzie poczucie stabilizacji. Horoskop na dziś zapowiada, że ten stan udzieli się Twoim bliskim.

Baran (21.03 - 19.04)

Przekonasz się, że Twoje potrzeby nie zawsze są zbieżne z oczekiwaniami innych. Horoskop dzienny na piątek widzi w tym zarzewie konfliktu.

Byk (20.04 - 20.05)

Ktoś będzie próbował wpływać na to, co robisz. Horoskop dzienny mówi, że nie będzie na to Twojej zgody.

Bliźnięta (21.05 - 21.06)

Wygospodaruj trochę czasu na odpoczynek. Horoskop na dziś to wskazówka, by spędzić go z bliską osobą.

Rak (22.06 - 22.07)

Twój organizm wysła Ci sygnały, że nie działa na zasadach perpetuum mobile. Horoskop dzienny na piątek radzi tego nie lekceważyć...

Lew (23.07 - 22.08)

Dzień przyniesie Ci sporo miłych chwil i rozmów. Horoskop dzienny zapowiada, że momentami będzie słodko, aż do przesady...

Panna (23.08 - 22.09)

Horoskop na dziś mówi, że Twoja stanowczość w podejmowaniu decyzji sprawi, iż sporo zyskasz w oczach otaczających Cię osób.

Waga (23.09 - 22.10)

Ktoś z Twojego otoczenia może popaść w małe tarapaty. Horoskop dzienny na piątek zapowiada, że musisz wyciągnąć pomocną dłoń.

Skorpion (23.10 - 21.11)

Postaraj się dzisiaj zachowywać systematyczność. Horoskop dzienny ostrzega, że wszelkie zaległości mogą odbić Ci się czkawką...

Strzelec (22.11 - 21.12)

Zadzwoń do Ciebie osoba, z którą kontakt urwał Ci się kilka lat temu. Horoskop na dziś zapowiada, że postanowicie odnowić znajomość.

Koziorożec (22.12 - 19.01)

Błyśniesz talentem, który rzadko ujawniasz przed otoczeniem. Horoskop dzienny na piątek mówi, że ludzie patrzą na Ciebie z uznaniem.

Punkt zwrotny dla Polaków? Czas na ostatni konkurs TCS

Mateusz Pietras
redakcja@polskapress.pl

SKOKI NARCIARSKIE. W sobotę odbędzie się ostatni konkurs w ramach Turnieju Czterech Skoczni. O Złotego Orła powalczą Japończyk Ryoyu Kobayashi i Niemiec Andreas Wellinger.

W austriackim Bischofshofen poznamy końcowe rozstrzygnięcia 72. edycji. O Złotego Orła powalczą Japończyk Ryoyu Kobayashi i Niemiec Andreas Wellinger. Na dobry występ czeka polska kadra. Po prawą nastąpiła w Innsbrucku, gdzie w 2. serii wystąpiło czterech skoczków.

W środę odbyły się kolejne zawody w skokach narciarskich na Bergisel w Innsbrucku wliczane do Pucharu Świata. Był to również trzeci konkurs w tegorocznym cyklu Turnieju Czterech Skoczni. Wielkie powody do zadowolenia miał Austriak Jan Hoerl, który po raz pierwszy w Innsbrucku (HS128), a drugi w karierze zwyciężył w zawodach PŚ. Dzięki zwycięstwu 25-latek przesunął się na trzecie miejsce w klasyfikacji generalnej legendarnej imprezy. Tego dnia cała austriacka kadra była bardzo dobrze dysponowana. W czołowej „dziesiątce” znalazło się pięciu zawodników gospodarzy, z czego na trzecim miejscu Michael Hayboeck.

Powody do radości mieli nie tylko liderzy Pucharu Narodów. Po raz pierwszy w 72. edycji turnieju kibice mogli zobaczyć aż czterech polskich skoczków w serii finałowej.

- Nie chcę mówić, że to jest to, na co wszyscy czekamy. W sporcie i naszej dyscyplinie różnie to bywa. Tutaj zrobiliśmy duży krok naprzód. Ważne jest, żeby wciąż skupiać się na wykonywanej pracy i za bardzo żeby-



FOT. PAP/EP/ANNA SZLAGY

Polscy kibice liczą, że w ostatnim konkursie dobrą formę zaprezentuje Kamil Stoch i pozostali Polacy

śmy się nie przejmowali. Każdy dzień będzie niósł ze sobą nowe doświadczenia i możliwości. Tak do tego trzeba podejść - powiedział najlepszy Polak w Innsbrucku Kamil Stoch. Trzykrotny mistrz olimpijski zajął 11. lokatę. Tym samym zanotował najlepszy występ w tegorocznym sezonie. - Najważniejsze jest to, żeby trzymać się planu. Istotą jest zmierzać krok po kroku i pracować bez nadmiernych uniesień, ale też z utrzymaną głową do góry. Dzisiaj było pozytywnie i fajnie skakać w takiej atmosferze przy pełnych trybunach. Dobrze jest oddawać takie skoki w takim klimacie - dodał 3-krotny triumfator TCS.

Trzy pozycje niżej zawody zakończył Piotr Żyła, który po pierwszej serii zajmował czwarte miejsce. W drugiej serii skakało jeszcze dwóch reprezentantów Polski. Aleksander Zniszczoł został sklasyfikowany na 24. miejscu. Natomiast Paweł Wąsek zajął 29. miejsce. Skoczkowie zadowoleni są ze stabilizacji oraz nabrali pewności siebie przed kolejnymi konkursami. W pierwszej serii odpadł Maciej Kot, a drugi zawodnik poprzedniej edycji TCS Dawid Kubacki nie zdołał zakwalifikować się do konkursu. W Ga-Pa także nie zdobył pucharowych punktów. - Dzisiaj mieliśmy klasyczny Innsbruck. Jutro pewnie nie bę-

dzie w ogóle wiatru, a dziś wiało z różnych stron podczas zawodów. Każdy potrzebował szczęścia. W pierwszej serii Paweł Wąsek był ofiarą tego wiatru. Kamil Stoch też startował w bardzo trudnych warunkach. Z kolei Piotr Żyła miał problemy z wiatrem w drugiej rundzie. Dlatego nie oddał tak dobrego skoku, jak w pierwszej próbie. Na koniec jednak widzę, że wykonaliśmy krok naprzód. Jestem zadowolony. To był najlepszy konkurs w naszym wykonaniu w tym sezonie. Zachowajmy ten rytm do Bischofshofen - powiedział na antenie Eurosportu austriacki szkoleniowiec Thomas Thurnbichler.

W sobotę skoczkowie wystąpią w ostatnim konkursie, który zakończy tegoroczny niemiecko-austriacki turniej. Dzień wcześniej, w piątek, odbędą się kwalifikacje. Po sześciu skokach prowadzi drugi w pierwszym konkursie w Austrii Japończyk Ryoyu Kobayashi, który ma 4,8 pkt zapasu nad drugim Niemcem Andreasem Wellingerem. Do segmentu austriackiego turnieju to właśnie mistrz olimpijski znajdował się na pozycji lidera w klasyfikacji łącznej. Najlepszym Biało-Czerwonym jest Stoch, który zajmuje 15. miejsce.

Rekord skoczni Paul-Ausserleitner-Schanze (HS142) należy do Dawida Kubackiego, który wynosi 145 m. Poprzednie zawody zdominowali Norwegowie, którzy stanęli na dwóch stopniach podium. Najlepszy okazał się Marius Lindvik przed Halvorem Egnerem Granerudem i Austriakiem Hoerlem.

Transmisja konkursu w Bischofshofen w sobotę w TVN, Eurosport 1 oraz usłudze Eurosport Extra. Początek o godzinie 16.30. ©©

Wdowa po Muellerze jest pewna, co do pobicia rekordu Lewandowskiego

Jakub Maj
Warszawa

PIĘKA NOŻNA. Legenda Roberta Lewandowskiego w Bayernie Monachium i Bundeslidze jest poważnie zagrożona przez angielskiego snajpera Harry'ego Kane'a.

Kane jest nowym ulubieńcem niemieckich mediów i kibiców FCB. 30-latek w Monachium czuje się jak ryba w wodzie, co przekłada się na jego indywidualne osiągnięcia i wyniki Bayernu. Angielski napastnik po 15 meczach w Bundeslidze ma na swoim koncie 21 bramek i 5 asyst. Harry jest na dobrej drodze, aby pobić rekord ustanowiony przez „Lewego” w 2021 roku. Polak strzelił wówczas 41 goli w sezonie ligowym, czym przebił wyczyn legendarnego „bombardiera” Bayernu i reprezentacji Niemiec Gerda Muellera.

Eksperci doceniają klasę Kane'a. Legendarny bramkarz Bayernu Sepp Maier stwierdził niedawno, że Anglik jest dla Ba-

warczyków cenniejszy niż Lewandowski. - Jego (Harry'ego Kane'a) występy były wyjątkowo dobre. Brak mi słów. Szczególną cechą Kane'a jest to, że pracuje także dla innych. Pokazał jak bardzo zgrał się z Bayernem. Jest dobry do Bundesligi. Kane jest znacznie bardziej wartościowy niż Lewandowski - podkreślił ekspert. O ocenę gry Kane'a została poproszona także wdowa po Gerdzie Muellerze. Uschi Mueller zauważyła, że tylko katastrofa mogłaby powstrzymać Anglika przed pobiciem rekordu ustanowionego w 2021 roku.

- To jasne, że Harry Kane wyprzedzi Roberta Lewandowskiego i ustanowi rekord. Coś strasznego musiałoby się wydarzyć, żeby to się nie stało - powiedziała Uschi Mueller dla tygodnika „Sport Bild”.

Kane został trzecim najlepszym strzelcem 2023 roku. Strzelił 52 gole w barwach Tottenhamu, Bayernu Monachium i reprezentacji Anglii. Przed snajperem „Die Roten” uplasował się tylko Portugalczyk z Al Nasr Riad Cristiano Ronaldo (54 gole).



FOT. MICHAELA REHLE/AP/EP/NEWS

Harry jest na dobrej drodze, aby pobić rekord ustanowiony przez „Lewego” w 2021 roku

United Cup. Polska zagra w półfinale z Francją. Iga i Hubi idą jak burza

Zbigniew Czyż
redakcja@polskapress.pl

TENIS. Wielkie emocje czekają na kibiców tenisa w sobotę i niedzielę. W Sydney rozegrane zostaną półfinały i finał United Cup z udziałem reprezentacji Polski.

Biało-Czerwoni w Australii prezentują się znakomicie. Wygrali wszystkie mecze w swojej grupie, pokonując kolejno Brazylię i Hiszpanię, a ćwierćfinale Chiny. W sobotę w półfinale zagrają z reprezentacją Francji.

O awansie „Trójkolorowych” do półfinału zdecydował pojedynek w mikście, w którym francuska para Caroline Garcia/Edouard Roger-Vasselin pokonała norweski duet Ulrikke Eikeri/Casper Ruud 7:5, 6:4. W grach singlowych Casper Ruud wygrał z Adriano Panatta 6:1, 6:4, a Malene Helgo przegrała z Carlonią Garcia 2:6, 7:6(6), 6:7(5).

W ćwierćfinale Polacy mierzyli się z Chinami, Iga Świątek i Hubert Hurkacz nie dali szans rywalom i pewnie zwyciężyli swoje mecze w singlu. Formalności dopełnił mikst Katarzyna

Piter Jan Zieliński, ogrywając chiński duet.

Liderka rankingu WTA wygrała jak dotąd w Australii wszystkie trzy mecze, pokonując kolejno Brazylijkę Beatriz Haddad Maię 6:2, 6:2, Hiszpankę Sarę Sorribes Tormo 6:2, 6:1 i Chinę Qinwen Zheng 6:2, 6:3. Hubert Hurkacz zwyciężył w dwóch spotkaniach Brazylijkę Thiago Sevbotha Wilda 6:7(4), 6:2, 6:3 i Chińczykę Zhizhenę Zhanga 6:3, 6:4, przegrał pojedynek z Hiszpanem Alejandro Davidovichem Fokiną 6:3, 3:6, 4:6.

W United Cup 18 zespołów

podzielono na sześć grup po trzy ekipy. Grupy A (z Polską), C i E grały w Perth, pozostałe znalazły się w Sydney. Kadre prowadzone przez kapitana Tomasza Wiktorowskiego, na co dzień trenera Igi Świątek, poza Hubertem Hurkaczem, Janem Zielińskim i Katarzyną Piter uzupełniają Katarzyna Kawa i Daniel Michalski. W poprzedniej edycji United Cup Polska dotarła do półfinału, w którym przegrała z USA.

Pula nagród w United Cup 2024 wynosi 10 milionów dolarów. Na tę kwotę składają się trzy

części: kwoty „startowe”, czyli za sam udział według miejsc zajmowanych w rankingach WTA i ATP; premie indywidualne dla zawodników i zawodniczek za wygraną poszczególnych meczów; a także premie dla całych drużyn za kolejne zwycięstwa w grupach oraz w fazie play off.

Uczestniczki i uczestnicy United Cup dzięki występom w Australii zdobywają też punkty do rankingów WTA i ATP na zbliżonym poziomie jak w turniejach WTA 500 i ATP 500. Minimalne różnice w przeliczeniach będą zależeć od pozycji zajmo-

wanej przez pokonanych przeciwniczki i przeciwników. W najnowszym opublikowanym rankingu liderka polskiej kadry Iga Świątek zajmuje pierwsze miejsce, wśród mężczyzn Hubert Hurkacz jest dziewiąty.

Tymczasem Magda Linette w 1/8 finału WTA 500 Brisbane odpadła z Rosjanką Darią Kasatkiną 4:6, 2:6 oraz w parze z amerykańską tenisistką pochodzenia chorwackiego Bernardą Perą przegrała w ćwierćfinale z Ukrainką Ludmiłą Kichenok i Łotyszką Jeleną Ostapenko 4:6, 2:6.

SPORT

www.sportowy24.pl

KOLARSTWO PRZELAJOWE

Sukces bytowianina Cezary Konkol z Baszty Bytów odniósł w końcówce ub.r. zwycięstwo w finałowych zawodach Pucharu Polski. W zawodach, które odbyły się w Sławnie (koło Opoczna), Konkol rywalizował w kategorii żaków. W rywalizacji elity mężczyzn (seniorzy) najlepszy był Filip Helta (KTM SGR MTB Team). Z kolei w wyścig kobiet wygrała Zuzanna Krzystała (Pho3nix Cycling Team). **JAK**

FUTSAL

Porażka Jantara w Szczecinie Futsal Szczecin pokonał 10:4 Jantara Ustka w zaległym meczu z 4. kolejki Centralnej Ligi Juniorów U19. Po rozegranych 7. seriach, szczecinianie są wiceliderem z dorobkiem 11 punktów. Jantar zamyka tabelę (4 pkt). Liderem grupy II CLJ U19 jest zespół Red Dragons Pniewy (13 pkt). Do zakończenia zmagania pozostały trzy kolejki. W niedzielę Jantara czeka wyjazd do trzeciego w tabeli SPN Szamotuły. **JAK**

ANALIZA CZY ZIMA TO DOBRY OKRES, BY POGOŃ SZCZECIN ZMIENIŁA USTAWIENIE OBRONY?

Trójka z tyłu lekiem na problemy?

Jakub Lisowski
sport@gs24.pl

PIŁKANOŻNA. 8 stycznia zespół Pogoni Szczecin rozpoczął przygotowania do wiosny w PKO Ekstraklasie. Ten pięciodniowy okres to nie tylko czas na pracę nad kondycją, ale i nad taktyką.

Jeśli po jesiennej części sezonu za coś pochwalić Pogoń to za ofensywne usposobienie. Przy lepszej skuteczności dorobek bramkowy i punktowy byłby okazalszy. Dużo gorzej Pogoń prezentowała się w defensywie, choć statystyki nie są takie złe. Tylko pięć straconych bramek w dziewięciu meczach wyjazdowych to naprawdę imponujący wynik. Na swoim boisku było dużo gorzej - aż 18 straconych goli. Wszyscy wiemy, że jeśli wiosną Pogoń chce skutecznie walczyć o Puchar Polski oraz oligowe podium, to musi uszczelnić obronę. To oczywistość.

Nie brakuje opinii, że Pogoń powinna zacząć grać na stałe trójką stoperów oraz wahadło-

wymi. Do tej pory trener Jens Gustafsson sceptycznie podchodził do takich wniosków. Raz, że nie miał wielkiego pola manewru wśród obrońców, dwa, że preferuje granie czwórką zawodników w tyłach, a na trójkę przechodził sporadycznie, gdy Pogoń goniła wynik. Czy zespół teraz zaskoczy konkurencję? Jedno jest pewne: jeśli nie teraz, to już chyba nigdy za kadencji szwedzkiego trenera, który pozostał na stanowisku, ale mocnej pozycji nie ma.

Pięciodniowy cykl przygotowań to jedyny okres, by wprowadzić na stałe taką zmianę. Można mieć jednak wątpliwości, czy Szwed zaryzykuje, co głównie związane jest z kontuzją jednego ze stoperów, Danijela Loncara. Bośniak wróci do gry najwcześniej w lutym - to wariant optymistyczny.

Teraz trójkę stoperów tworzyliby: Linus Wahlqvist (prawa strona), Benedikt Zech (środek), Mariusz Malec (lewa strona). Zmiennikami byłiby: Wojciech Lisowski, który może pograć na każdej z tych pozycji, Leo Bor-



Benedikt Zech to wciąż jeden z najlepszych stoperów w polskiej lidze i lider defensywy Pogoni. Wszystko wskazuje na to, że wiosną tak pozostanie

ges oraz Loncar, jak już wróci do zdrowia.

Kłopot może być za to z obsadą tzw. prawego wahadłowego. Po lewej stronie stworzony (na papierze) do tej roli jest Leonardo Koutris, ale na prawej

stronie Pogoń ma typowych skrzydłowych: Adriana Przyborka, Marcela Wędrychowskiego, Mariusza Fornalczyka. Jest też Wahan Biczachczjan, ale jego jeszcze nie znamy z gry w obronie. Teoretycznie najlep-

szy byłby Wahlqvist, ale będzie to możliwe po powrocie Loncara. Tyle że pamiętajmy, że wiosną Pogoń częściej chce grać młodzieżowcem w składzie.

Najmniejsze zmartwienie byłoby z obsadą środka pomocy, bo

do gry jest kilku zawodników i tu Gustafsson ma wybór. Po jesieni wydaje się, że optymalne zestawienie środka to: Rafał Kurzawa, Fredrik Ulvestad, Alexander Gorgon.

Granie wahadłowymi wymusiłoby też zmianę pozycji Kamila Grosickiego. Kapitan może grać na obu skrzydłach, jak trzeba, to angażuje się w defensywę, ale w nowym ustawieniu miałby miejsce w ataku - obok Efthymiosa Koulourisa. To ryzyko, bo Grosicki najlepiej czuje się na skrzydle, gdzie ma najwięcej miejsca i jego gra przynosi efekty. Czy szkoleniowiec zdecyduje się na grę dwójką technicznych napastników? Innego wyboru by nie miał, bo nawet jeśli chciałby upchnąć Grosickiego w środku, to Zahović też jest niskim napastnikiem.

Brak Loncara i obawy o Grosickiego to są mocne argumenty dla Gustafssona, by zimą szlifować to, co miał i grał. Z drugiej strony będzie miał czas, by podjąć próbę takiej zmiany. Pomógłby mu transfery i większa odwaga z grą młodzieżowców. ©

Klassen wrócił do Polski

KOSZYKÓWKA. Przed rozpoczęciem rundy rewanżowej Orlen Basket Ligi kilka klubów pozyskało nowych zawodników.

Do zajmującego 12. miejsce w tabeli Śląska Wrocław dołączył rozgrywający Marek Klassen (31 lat, 185 cm). Kanadyjczyk z powodzeniem reprezentował w sezonie 2021/22 barwy Grupy Sierleccy Czarnych Słupsk. W rozegranych 41. meczach zdobywał dla słupskiego klubu średnio 13,7 punktu, 6,6 asysty i 3,6 zbiórki. Klassen, który przed przejściem do Czarnych grał w Wielkiej Brytanii, Rumunii, Turcji, Ukrainie i Szwecji, występował później w CEZ Nymburk (Czechy), SC Prometey Kamianske (Ukraina), CSP Limoges (Francja) oraz w kanadyjskim Vancouver Bandits. Ostatnio był graczem greckiego AS Karditsas, gdzie notował średnio 7,4 punktu, 5,1 asy-

sty i 3,2 zbiórki na mecz. Przed startem obecnego sezonu niektóre media wiązały go ponownie z Czarnymi, czemu klub stanowczo zaprzeczył.

Do Anwilu Włocławek dołączył Ziga Dimec (30 lat, 211 cm). Środkowy grał już w Anwilu w rozgrywkach 2021/22, notując w 27. meczach średnio 10,5 pkt i 4,9 zbiórki. Słoweniec, mistrz Europy z 2017 r., występował później w Nishinomiya Storks (Japonia) i Mersin BBGSK (Turcja). Nowym zawodnikiem Arki Gdynia został z kolei silny skrzydłowy z USA, Seth LeDay. 27-latek, mierzący 201 cm, grał ostatnio w szwedzkim Jamtland Basket, gdzie zdobywał 15,4 pkt i 9,8 zbiórki. Po nowego zawodnika sięgnęły także Dzikie Warszawa. Do beniaminka dołączył obwodowy Amerykanin Ajare Sanni (23 lata, 191 cm), grający ostatnio w litewskim Vilkauskio Perlas (22,1 pkt, 4,2 zbiórki i 4,6 asysty). **(jak)**

Czarni chcą dobrze rozpocząć nowy rok

Michał Piątkowski
michal.piatkowski@polskapress.pl

KOSZYKÓWKA. W pierwszym spotkaniu w 2024 roku Grupa Sierleccy Czarni Słupsk zagra w Stargardzie.

Dobra passa podopiecznych Mantasa Cesnauskisa trwa. Trzy wygrane z rzędu napawają kibiców w Słupsku dużym optymizmem, szczególnie biorąc pod uwagę wielkość tych dwóch ostatnich. Najpierw Czarni pewnie pokonali w Warszawie Dzikie 96:83, a następnie bez większych problemów rozegrali się w Gdyni z Arką 84:67. Ogromna w tym zasługa nowego zawodnika drużyny ze Słupska, Donatasa Sabeckisa, który w trzech do tej pory rozegranych meczach zanotował na swoim koncie aż 24 asysty, a przecież to ich mała liczba była jedną z największych bolączek słupszczyzan w początko-



Koszykarze Czarnych Słupsk mają ostatnio co raz więcej powodów do radości

wej fazie sezonu. Przy nowym rozgrywającym niesamowicie odżył też Michael Caffey, który w tylko dwóch ostatnich pojedynkach zdobył aż 47 punktów, trafiając 19 z 32 oddanych rzutów.

PGE Spójnia to zespół o dużym potencjale ofensywnym, będącym ostatnio jednak

w nieco gorszej formie. Z ostatnich siedmiu ligowych meczów stargardzianie wygrali tylko dwa, do tego ten ostatni z Dzikami w naprawdę słabym stylu. Liderem punktowym drużyny poprowadzonej przez niemieckiego trenera Sebastiana Machowskiego jest Devon Daniels IV, który co

mecz zdobywa średnio ponad 17 punktów.

Początek meczu Spójnia - Czarni w sobotę (6 grudnia) o godzinie 17 30 w Stargardzie. Bezpośrednia transmisja od godziny 17 20 na kanale Polsatu Sport News.

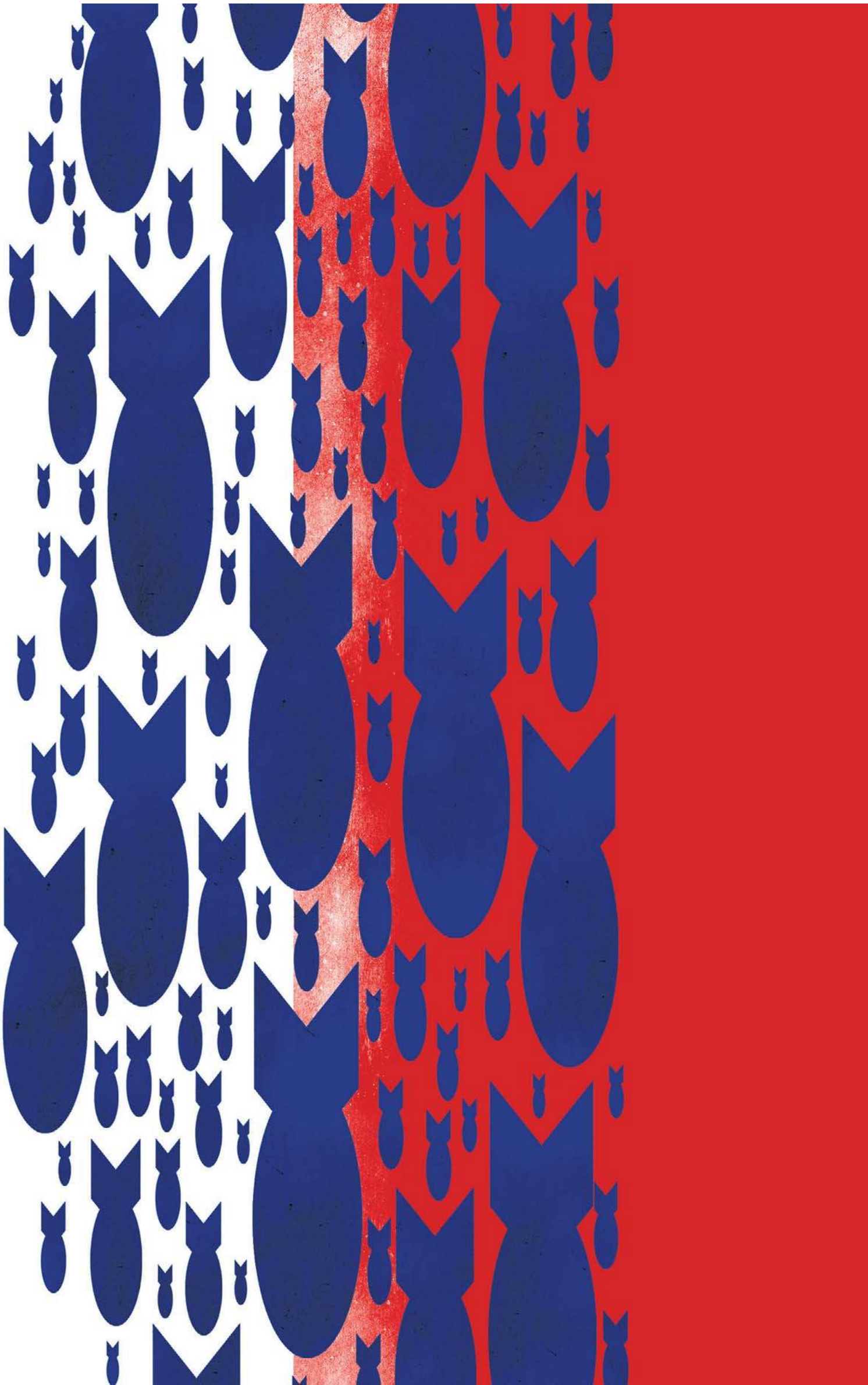
Tabela Orlen Basket Liga na półmetku sezonu zasadniczego:

1. Anwil Włocławek	15	29	1310-1124
2. Trefl Sopot	15	25	1277-1203
3. Arged BM Stal Ostrów	15	24	1282-1165
4. Polski Cukier Start Lublin	15	24	1320-1319
5. King Szczecin	15	23	1317-1249
6. MKS Dąbrowa Górnicza	15	23	1491-1440
7. PGE Spójnia Stargard	15	23	1192-1173
8. Arriva Tw. Pierniki Toruń	15	23	1223-1206
9. Legia Warszawa	15	23	1213-1201
10. Grupa Sierleccy Czarni	15	23	1189-1227
11. Dzikie Warszawa	15	22	1194-1226
12. Śląsk Wrocław	15	22	1131-1225
13. Tauron GTK Gliwice	15	20	1305-1373
14. Domelto Sokół Łańcut	15	19	1268-1347
15. Stelmet Zastal Ziel. Góra	15	19	1251-1332
16. Kr. Spoż. Arka Gdynia	15	18	1219-1372

(wsp. jak)

PULS

#93



Str. 4-5
Antony Beevor:
Rosja uważa Polskę
i USA za wroga

Jędrzej Lipski

„ONI MOGĄ WSZYSTKO...”



Krzysztof Gulbinowicz, nieżyjący już, jeden z najwybitniejszych współczesnych polskich prozaików, praktycznie nieznany, niestety, pośród wielu swoich dzieł, większych i mniejszych, całej literackiej spuściznie, pozostawił nieduże, choć wstrząsające w swojej wymowie opowiadanie zatytułowane „Mój ojciec”. Nie wgłębiając się w treść opowiadania, przytoczę słowa zapisane w ostatnim jego akapicie: „[...] Spytałem go kiedyś, co sądzi o ruchu opozycyjnym, o przemianach, czy jak kto woli, odnowie w Polsce. Długo się zastanawiał, w końcu powiedział: „ONI mogą wszystko. [...]”. Znamienne słowa. „Oni mogą wszystko”... W świetle spraw i wydarzeń, które dzieją się aktualnie w Polsce, cytat jest jak najbardziej aktualny. Bezprawne działania ministra kultury, zamach na media publiczne, odwracanie uwagi społeczeństwa od spraw istotnych, najważniejszych dla bezpieczeństwa, rozwoju gospodarczego, niezależności i suwerenności Polski to wszystko fragmenty większej całości, które zdają się pieczętować smutny koniec naszej wolności. Konstatując całokształt dziejącego się na naszych oczach upadku Rzeczypospolitej, pozwolę sobie zwrócić uwagę na kilka szczegółów, które jakby umknęły naszej uwadze. Po pierwsze, nagłe wahnięcie kursu złotego. Niby nic, błąd źródła danych, „fejk”, jak to nazwał uspokajająco minister finansów w rządzie Tuska. Tylko tyle? Żadnego śledztwa, próby wyjaśnienia sprawy, naświetlenia? Może ktoś na tym zarobił? Nie wiemy. Po drugie. Kiedy nasze oczy skierowane były na szaleństwo bezprawnego przejmowania mediów publicznych, w Brukseli po cichutku wprowadzono, przy akceptacji rządzących w Polsce, tzw. I koszyk dochodów własnych unijnego budżetu, czyli nowe unijne podatki: 25 proc. udział w dochodach ETS, będących do tej pory dochodami budżetów krajowych, tzw. podatek od śladu węglowego oraz tzw. podatek korporacyjny od dochodów firm ponadnarodowych. Co to oznacza dla polskiej gospodarki? Zobaczymy. Po trzecie - pakt migracyjny. Gdy przez Polskę przetaczała się sprawa zamachu na wolne, publiczne media, w Brukseli, znowu, finalizowano sprawę paktu migracyjnego. Wprowadza on zasadę „przymusowej solidarności”, oznaczającej, że do Polski mogą być przymusowo relokowani nielegalni imigranci w ilości nawet... kilkuset tysięcy osób, jeszcze w tym roku. Tak twierdzą eksperci. No i wreszcie zamach na wołosć słowa, czyli siłowe przejęcie mediów publicznych. O tym wszyscy wiemy, sprawa jest głośna i wciąż się toczy. Ale jedna drobna, aczkolwiek bardzo ważna sprawa nam przy tym umyka. Z archiwów, chociażby telewizyjnych, dziwnym trafem, ponoć nagle znikają zarchiwizowane już na specjalnych nośnikach programy, dokumenty, reportaże, materiały publicystyczne niewygodne dla obecnej władzy. Takie sytuacje już miały miejsce w historii mediów publicznych w Polsce. W 1982 roku płonęły na wysypiskach śmieci taśmy z programami szkalującymi władzę ludową. Kilka lat później, w okolicach czasów „okrągłego stołu”, miały miejsce podobne całopalenia taśm, które, tym razem, były niewygodne dla służących komunizmowi dziennikarzy. A dzisiaj? Czy to prawda, że z półek telewizyjnych archiwów nagle „wyparowały” takie programy, jak: „Cywilizacja Plus”, „Nomenklaturowe dzieci” czy „Reset”? Wątpię, czy się dowiemy... 80 lat temu w granice dawnej Rzeczypospolitej wkroczyła Armia Czerwona i błyskawicznie, bezwzględnie i krwawo wprowadziła tutaj swoje bolszewickie porządki. Polska straciła na wiele dziesiątków lat swoją suwerenność, a Polacy zostali sprowadzeni do kategorii obywateli drugiej kategorii. Długo wybijałiśmy się na niepodległość. Jak się okazało, zbyt kruchą i zbyt słabą, by stać się, po wielu wiekach, ponownie potęgą wśród współczesnych europejskich państw. Rozdarci wewnętrznie, podzieleni, wciąż na nowo stajemy się łupem tych, o których Krzysztof Gulbinowicz z trwogą pisał „Oni”, bo „Oni mogą wszystko”...

Marcin Kędryna

PO CO KOMU
TELEWIZJA

Arek, mój kolega z harcerstwa, mieszkający od lat w Anglii, zatwardziały korwinista, stwierdził w czasie okołoswiątecznej dyskusji, że TVP trzeba zlikwidować. Według niego, w zdrowej sytuacji nie powinno być telewizji, która po każdych wyborach staje się łupem należnym ich zwycięzcy. Próbowałem mu tłumaczyć, że istnienie publicznej telewizji ma sens, nawet jeżeli jej odpowiadający za informacje kawałek - TVP Info i Wiadomości - to realnie telewizja rządowa. Z punktu widzenia państwa nie jest złe, jeżeli rząd ma swoją telewizję, przy pomocy której może realizować politykę. W idealnej sytuacji politykę państwową. Na przykład miękką politykę zagraniczną. Pamiętam trzy sytuacje, kiedy TVP (konkretnie: Telewizyjna Agencja Informacyjna) zrobiła coś naprawdę dobrego, czego by nie były w stanie zrobić telewizje komercyjne, bo nie byłoby ich na to stać. Pierwsza, to realizacja transmisji uroczystości z okazji 80. rocznicy wybuchu II wojny światowej. Pamiętam, jakie wrażenie zrobiła jej realizacja na ekipie z Białego Domu. Pamiętam, że uroczystości widziały setki milionów ludzi na całym świecie. Drugą taką sytuacją była transmisja z pogrzebu przywódców powstania styczniowego na Litwie, Kastusia Kalinowskiego i Zygmunta Sierakowskiego, w listopadzie 2019 roku. Litewska telewizja nie miała za bardzo możliwości technicznych, by transmisję przeprowadzić. Zrobiła to TAI, dzięki temu tysiące mieszkańców naszej części Europy mogło sobie przypomnieć o tym, że mieliśmy wspólną historię, mamy wspólnych wrogów i wspólnych bohaterów. No i trzecia - transmisja 75. rocznicy wyzwolenia Auschwitz. Widziały ją setki milionów ludzi na całym świecie, realizacja przyćmiła konkurencyjną imprezę w Izraelu, dzięki czemu Polska miała szansę na to, by opowiedzieć swoją wersję historii. Bez silnej państwowej telewizji nie da się takich rzeczy robić. Kolega Arek uważa, że jeżeli wydarzenia są tak ważne i interesujące, to na pewno zajmą się nimi stacje komercyjne. A tak wcale nie jest.

TVP Info czy Wiadomości zawsze zajmowały się propagandą. I zawsze będą (wystarczy włączyć następcę Wiadomości, to coś, co się zaczyna

o 19.30). Propaganda może być robiona w sposób bardziej lub mniej nachalny. Im bardziej nachalny, tym mniej skuteczny, co widać po wyniku poprzednich wyborów.

Śmiesz mnie opinie, że PiS wygrał wybory dzięki TVP. I że bez TVP się rozpadnie, a ludzie o nim zapomną. PiS wybory wygrał raczej wbrew TVP, a to, czy ludzie o nim zapomną, zależy bardziej raczej od tego, czym i w jaki sposób będą się zajmować jego parlamentarzyści.

Naprawdę trudno mi zrozumieć rozmiary zaangażowania nowego rządu w przejmowanie TVP. Irracjonalne wydaje się bezmyślne popieranie działań Platformy przez jej koalicjantów. Koalicjantów, którzy mieli na sztandarach zmianę standardów polskiej polityki. I nie miała to być zmiana na gorsze.

Nie mogę zrozumieć, skąd u premiera Tuska i ministra Sienkiewicza tyle determinacji, by narażać się na takie ryzyko. Nie ma przecież gwarancji, że Platforma rządzić będzie do końca świata, a jak powtarza co chwile profesor Zaradkiewicz - pewne przestępstwa się nie przedawniają.

Lata obserwowania polityki z bliska uodporniły mnie na spiskową teorię dziejów. Gdyby nie to, zastanawiałbym się właśnie, czy zadymą w sprawie mediów Donald Tusk nie zasłania czegoś innego. Na przykład kwestii zgody na relokację migrantów. Czyli, czy wcale nie chodzi o telewizję, tylko o to, by 10 878 863 Polaków, którzy zagłosowali w referendum przeciw relokacji, zajmowało się niezbyt lubianą przez siebie telewizją, zamiast problemem, który naprawdę może ich zaangażować. A jest ich raptem o 720 227 osób mniej niż tych, którzy zagłosowali na partie wchodzące do koalicji.

W strategicznej perspektywie Europa jest celem rosyjskiej agresji i ona się zdarzy wtedy, gdy przewaga Rosji będzie ewidentna; Europa jako całość musi być silniejsza militarnie od Rosji, to jest jedyny sposób zabezpieczenia europejskich i polskich granic

Pytnie tylko pozornie wydaje się banalne. A odpowiedzi trzeba poszukać m.in. w historii obyczajowości żydowskiej, bowiem to głównie do Żydów kierowany był tekst o mędrcach, teologii, a po trosze w botanice i ekonomii. W Ewangelii św. Mateusza stoi: „Po rozmowie z królem (Herodem - przyp. red.) mędrcy wyruszyli w drogę. Znowu ukazała się im gwiazda, którą zobaczyli na Wschodzie, i prowadziła ich. W końcu zatrzymała się nad miejscem, gdzie znajdowało się Dziecko. Widok gwiazdy napełnił ich ogromną radością. Gdy weszli do domu, zobaczyli Dziecko i Jego matkę, Marię. Pokłonili Mu się nisko, otworzyli szkatułki z kosztownościami i ofiarowali Mu w darze złoto, kadzidło oraz mirrę. Później we śnie otrzymali nakaz, by nie wracać do Heroda. Dlatego inną drogą udali się do swojego kraju”.

Kuszący blask złota

Złoto ofiarowane przez Mędrców miało nie tylko wymiar czysto materialny, co mogło działać na wyobraźnię słuchających, ale i symboliczny. Odnosiło się bowiem do starożytnego proroctwa dotyczącego spodziewanego przez Żydów Mesjasza. Złoto wiąże się z majestatem władzy królewskiej. Tym samym Mędrcy ze Wschodu - ludzie gruntownie wykształceni, znający zwyczaje, tradycje oraz symboliczne znaczenia i konteksty - podarowali nowo narodzonemu dziecku prezent łączący go w sposób bezpośredni z władzą monarszą.

Po latach, podczas procesu u Poncjusza Piłata, Chrystus przyznał, że jest królem, choć innym niż wszyscy znani monarchowie. „Królestwo moje nie jest z tego świata. Gdyby królestwo moje było z tego świata, słudzy moi biliby się, abym nie został wydany Żydom. Teraz zaś królestwo moje nie jest stąd” - tak zapisał św. Jan słowa Jezusa. I dodał dalej: „Tak, jestem królem. Ja się na to narodziłem i na to przyszedłem na świat, aby dać świadectwo prawdzie”.

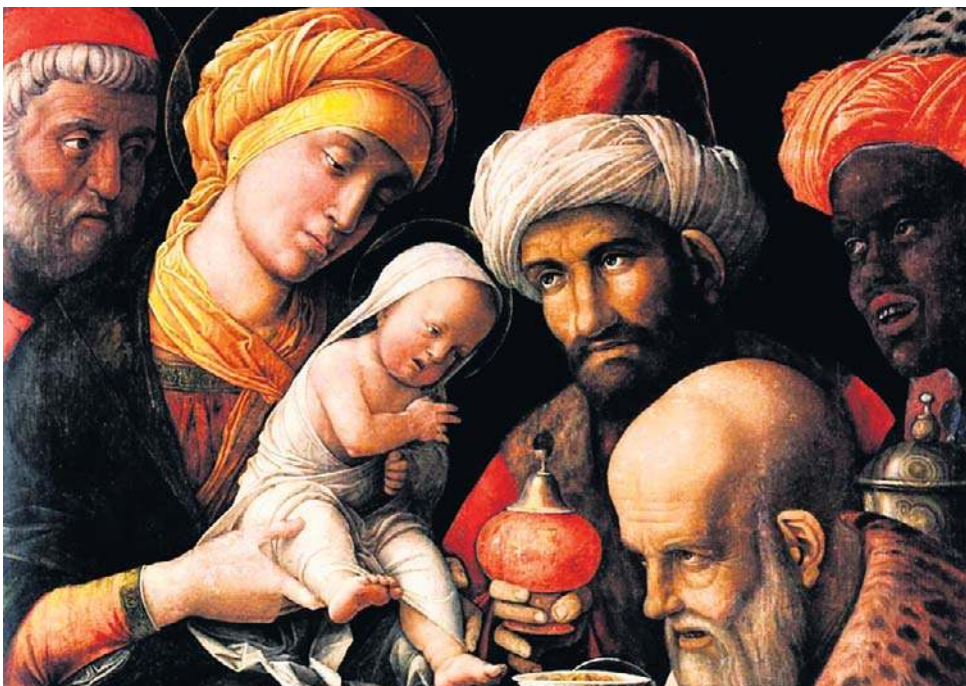
Ostrożnie z tym kruszczem

Złoto symbolizowało w kulturze ówczesnych Żydów coś, co jest piękne, chwalebne i wartościowe. Coś, co świadczy o przychylności Boga. Oczywiście nie zawsze, wystarczy bowiem przypomnieć sobie opowieść o złotym cielcu z Księgi Wyjścia: oto Aaron pod nieobecność Mojżesza nakazał zebranie Żydom kółczyków, następnie przetopił je i stworzył posąg złotego cielca, a także ołtarz, przed którym następnego dnia złożono ofiary i bawiono się. Skończyło się to niemal wyniszczeniem Narodu Wybranego.

DLACZEGO AKURAT ZŁOTO, KADZIDŁO I MIRRA?

Takie dary przywieźli mędrcy ze Wschodu
narodzonemu w Betlejem Zbawicielowi.
Zapewne nieprzypadkowo.
Ale skąd akurat taki dobór prezentów?

Mariusz Grabowski



Mędrcy ze Wschodu – ludzie gruntownie wykształceni – podarowali nowo narodzonemu dziecku prezent łączący go z władzą monarszą

Można rzec, że ze wszystkich rzeczy stworzonych i nieożywionych, jakie Stwórca zostawił ludziom od początku stworzenia do dyspozycji, najwartościowsze jest właśnie złoto, a Biblia niejednokrotnie używa pojęcia złota do obrazowych porównań z dobrami duchowymi. Księga Apokalipsy mówi nam nawet, że w nowej Jerozolimie będzie złoto przeźroczyste jak szkło.

Wspomniane królowanie Jezusa Chrystusa, a zarazem fakt wręczenia Mu przez mędrców ze Wschodu złota, zostało zapowiedziane w powstałej być może już w VIII w. przed Chrystusem Księdze Izajasza: „Zaleję cię mnogością wielbłądów - dromadery z Madianu i z Efy. Wszyscy oni przybędą ze Saby, zaoferują złoto i kadzidło, nuciąc radośnie hymny na cześć Pana” (Iz 60, 6).

Aureusy z Lugdunum

W jakiej formie mędrcy wręczyli swój złoty dar? Zapewne w monetach, choć nigdy się nie dowiemy, czy były to monety rzymskie, greckie, egipskie czy

np. perskie. Najczystsza złota moneta ówczesnego imperium był aureus, czyli as, który ważył 7,85 g (a od panowania cesarza Nerona 7,28 g). Grecy bili popularne monety z elektronu, ale w obiegu były wciąż perskie dardry, rozpowszechnione za panowania Dariusza I.

Rzecz nie w nazwie, ale w wartości kruszcu. Za czasów panowania Oktawiana Augusta aureus stał się podstawą systemu monetarnego imperium. Bito go w znacznych ilościach, głównie w założonej w Lugdunum (dzisiejszym Lyonie) centralnej mennicy cesarskiej. Aureusy Oktawiana miały wartość 25 srebrnych denarów. Denar z kolei stanowił podstawową monetę obiegową, także w Judei. Z Ewangelii św. Mateusza wiemy, że miał on równowartość dziennej pracy robotnika i tyle wynosił. Dwa denary wynosiła danina na rzecz świątyni.

Kadzidło. Ale jakie?

Przejdźmy do kadzidła. Nie było ono jedynie kosztowną

substancja. Kapłani w Jerozolimie stosowali mieszankę kadzidlą złożoną z mirry, onyksu, galbanum i kadzidła rozartych i zmieszanych z solą - symbolem przymierza. Do takiej mieszanki dodawano mieszaninę dwunastu innych korzeni.

Mędrcy zapewne przywieźli do Betlejem cenną esencję tzw. olibanum - żywicy pozyskiwanej z drzew rodzaju kadzidła (Boswellia) rosnących na półpustyniach i obrzeżach pustyń północno-wschodniej Afryki oraz na Półwyspie Indyjskim. Zawierała ona ok. 60 proc. żywicy, 10 proc. gumożywicy oraz 10 proc. olejków eterycznych.

Boska natura Jezusa

Jak już wspomniano, obraz wznoszącej się ku górze woni kadzidła był dla Żydów symbolem modlitwy: „Niech moja modlitwa będzie stale przed Tobą jak kadzidło; wzniesienie rąk moich jak ofiara wieczorna” - podaje Psalm 141. O świcie i wieczorem kapłan sprawujący służbę miał obowiązek składania mieszanki na ołtarzu kadzenia. Pod koniec dnia po zdjęciu szat liturgicznych arcykapłan zapalał świece i ponownie okadzał świątynię. Okadzanie Arki Przymierza i unoszący się ze spalonego kadzidła dym miał przesłonić oczy kapłana, który tak jak każdy, który oglądałby Arkę Przymierza nieosłoniętymi oczami musiałby umrzeć (Kpł 16,12).

Kadzidło i jego religijna rola przeszły także do liturgii chrześcijańskiej. Używa się go dziś dla podniesienia uroczystego nastroju niektórych nabożeństw, a także dla okazania czci osobom lub świętym przedmiotom. Okadza się więc hostie, ołtarz, relikwie, osoby, a nawet zwłoki podczas pogrzebu.

W sensie symbolicznym ofiarowanie Jezusowi Chrystusowi przez mędrców kadzidła podkreślać ma Jego Boską naturę. Nie godziłoby się bowiem dawać człowiekowi w prezencie czegoś zarezerwowanego dla Pana Boga.

Mirra - cenny dar

Wonna żywica jest otrzymywana z balsamowca mirry. Jak uczą botanicy, to niskie, cierniste drzewo szczególnie dobrze czuje się w rejonach górskich Arabii, Abisynii i Erytrei. Dawniej najwyżej ceniono żywicę wyciekającą naturalnie, bez robienia nacięć w korze czy obcinania gałązek.

Od starożytnych czasów była ona przedmiotem ożywionego handlu, a także cennym darem, jakim wielcy tego świata obdarowywali się dla pozyskania życzliwości.

O własnościach leczniczych mirry przekonali się już starożytni Grecy, stosując ją w infekcjach jamy ustnej i schorzeniach dróg oddechowych. Współcześni naukowcy odkryli jej przydatność w leczeniu astmy. Dowiedli też, że mirra zawiera silny środek usmierzający ból. Choć żywica z balsamowca nie jest już tak droga jak kiedyś, wciąż jest dość niepospolitym składnikiem wszelkich preparatów do pielęgnacji skóry i zapachów. Jest także składnikiem kadzidła.

Mirrę uznawano ponadto w starożytnym Izraelu za symbol człowieczeństwa, gdyż korzystano z niej przy ceremoniach jak najbardziej ludzkich, a zarazem przypominających o kruchości i marności życia: przy pogrzebach. Wiemy z Ewangelii, jak wyglądało pogrzebanie Jezusa. Józef kupił czystą, delikatną tkaninę lnianą i owinał ciało Chrystusa w lnianie płótno. Pomagał mu w tym Nikodem, „który wcześniej odwiedził Jezusa nocą” (J 19,39). Przyniósł też ok. 30 kilogramów kosztownej mieszanki mirry i aloesu. Zgodnie z żydowskim zwyczajem ciało Jezusa zostaje owinięte w bandaż z owymi wonnościami.

„Cudowna wymiana”

Teologia chrześcijańska uczy, że złoto, kadzidło i mirra nie wzięły się w Betlejem przypadkowo, choć były darami z gatunku cennych. Pierwszy dar oznacza - władzę królewską, drugi - kapłańską, a trzeci - cierpienie.

Mamy tutaj do czynienia ze spełnieniem się starotestamentalnych proroctw, które, realizując się, dodatkowo same w sobie także były proroctwami dotyczącymi przyszłych wydarzeń z życia Jezusa Chrystusa oraz miały głęboki wymiar symboliczny dotyczący Jego władzy jako Króla Wszechświata oraz Jego prawdziwie Boskiej i prawdziwie ludzkiej natury.

Teksty liturgiczne i teologiczne mówią o tym, że Syn Boży, stając się człowiekiem, nie tylko podniósł ową naturę ludzką z upadku spowodowanego grzechem, ale także nierozdzielnie złączył ją ze swoją naturą boską. Stąd zapewne teologowie wywiedli teorię „mirabile commercium” (łac. „cudownej wymiany”). W trzeciej preface o Narodzeniu Pańskim słyszymy: „W Nim zajaśniała tajemnicza wymiana, która nam przyniosła zbawienie. Gdy Nieskończony przyjął granice ludzkiej natury, śmiertelny człowiek stał się królem nad wiekami, i mieszkańców ziemi uczynił dziedzicami nieba”.

TEOLOGIA CHRZEŚCIJAŃSKA
UCZY, ŻE ZŁOTO, KADZIDŁO
I MIRRA NIE WZIĘŁY SIĘ
W BETLEJEM PRZYPADKOWO,
CHOĆ BYŁY DARAMI CENNYMI

- Putin ma radzieckich przodków, ale dziś Rosja nie jest już krajem sowieckim. Ma więcej wspólnego z Rosją carską. Ale przede wszystkim to państwo gangsterskie, a Putin jest szefem gangu. Dla Rosji Polska jest odwiecznym wrogiem - mówi Antony Beevor, brytyjski historyk

Agaton Kosiński

ANTONY BEEVOR: ROSJA ZA SWOICH NAJWIĘKSZYCH WROGÓW UWAŻA POLSKĘ, STANY ZJEDNOCZONE I WIELKĄ BRYTANIĘ

Współczesna Rosja rozpoczęła się w 1917 r. od rewolucji październikowej i wojny z Polską. Rozmawiamy pod koniec 2023 r. i Rosja znów jest w stanie wojny. Jak zmienił się ten kraj w ciągu tych 100 lat?

Rosja jest więzieniem swojej własnej przeszłości. Tak się dzieje od bardzo dawna, właściwie od inwazji Mongołów pod wodzą Czyngis-chana w XIII wieku. Rosja zawsze utrzymuje się w przekonaniu, że cały świat jest przeciwko niej, że wkrótce zostanie otoczona. To stanowi usprawiedliwienie dla okupacji sąsiednich państw.

Tyle że to nieprawda. To Rosja napada na innych, nie na odwrót.

W 1941 r. Stalin nie wierzył, że Niemcy zdecydują się zaatakować Związek Radziecki, było dla niego szokiem, że stało się inaczej. I to właśnie wylało fundament pod zimną wojnę. Stalin uznał, że musi okupować całą Europę Środkową, w tym Polskę, żeby zabezpieczyć własny kraj i sprawić, że nie zostanie po raz kolejny zaskoczony. To jest pewna forma paranoi. Nie musi ona oznaczać, że Kreml będzie zawsze i natychmiast dążył do wojny - ale też wiadomo, że Rosja traktuje wojnę jako jeden z elementów polityki. Nie przypadkiem do dziś nie zmieniła ona swojej doktryny wojennej. W przeciwieństwie do armii państw zachodnich rosyjska taktyka wojskowa nie uległa zmianie, przeciwieństwo walki w Czechenii w latach 90., w Syrii 10 lat temu czy teraz na Ukrainie jest bardzo podobny. Za każdym razem rosyjska armia opierała swe działania na niszczeniu miast za pomocą artylerii.

Mariupol spotkał w 2022 roku identyczny los jak Grozny w 1999 roku.

Rosjanie dalej uważają tę taktykę za najlepszą drogę do zwycięstwa. Widać, że Władimir Putin przejął ideologię Białych, pokonanych przez bolszewików w czasie rewolucji październikowej i wojny domowej, która wybuchła w Rosji tuż po niej. Można to uznać za swoistą ironię historii.

Teraz Pan mówi, że Putin jest bardziej „biały” niż „czerwony”?

Widać to choćby po tym, jak Putin chętnie eksponuje godło z czarnym orłem z podwójną głową - a przecież to był symbol używany w czasach carskich. Podobnie jak wtedy, on jest przekonany o tym, że istnieje imperium rosyjskie, odmienne od tego, które istniało w czasach Związku Radzieckiego. Putin stawia też pomniki generałom z czasów carskich. Rosyjski prezydent lubi się otaczać doradcami i ideologami nawiązującymi do tamtej epoki, odwoływać się do dziedzictwa Kościoła prawosławnego. Według nich Moskwa ma prawo okupować cały obszar eurazjatycki, od Wławy do Dublina.

Wskazuje Pan na podobieństwa systemu Putina z czasami Rosji carskiej. Ale przecież kręgosłup władzy Putina stanowią dawne sowieckie służby, GRU i KGB. Pod tym względem jest on spadkobiercą Józefa Stalina. Współczesna Rosja jest czerwona do szpiku kości.

Owszem, Putin ma radzieckich przodków, ale dziś Rosja nie jest już krajem sowieckim. To państwo gangsterskie, a Putin jest szefem gangu.

W stworzonym przez niego systemie rządów nie ma ani jednego elementu nawiązującego do sowieckiej ideologii, zarówno u Putina, jak i ludzi wokół niego.

W czasach komunizmu w Polsce był dowcip o tym, że komuniści są jak rzodkiewki - czerwoni na zewnątrz, biali w środku. Putin jest taką polityczną odwrótnością rzodkiewki?

Coś w tym jest, ale on przede wszystkim jest gangsterem, a Rosja to kraj gangsterski. Nie mam co do tego żadnych wątpliwości. Widać to choćby po tym, w jaki sposób on traktuje własnych obywateli. Oszacowano, że na rozkaz Putina zamordowano 162 oligarchów. Wśród zabitych osób znalazł się choćby Anatolij Sobczak, były mer Petersburga, pierwszy szef i mentor Putina, który został otruty - wraz z całą rodziną i ochroną - podczas pobytu w Kaliningradzie. Właśnie w taki sposób działa Putin.

W Pana książce „Rosja. Rewolucja i wojna domowa 1917-1921” uderza opis Rosji na początku XX wieku - ogromny kontrast między luksusowym życiem rosyjskiej elity a skrajnym ubóstwem reszty społeczeństwa. Ale bieżącą sytuację w tym kraju można opisać w podobny sposób. Czy Rosja w ogóle się nie zmienia?

Rzeczywiście, pod tym względem Rosja się nie zmieniła - ale też przez ten okres rosyjskie społeczeństwo przeszło przez całą serię przemian, pokonywało kolejne etapy rozwoju. Obecny model życia mieszkańców Rosji to konsekwencja gangsterskiego systemu rządów, jaki obowiązuje w tym kraju, i ewolucji, jaką on przeszedł od czasu rozpadu Związku Radzieckiego. Po tym, jak ZSRR przestał istnieć, rozsypany był również struktury tworzące tamto państwo - ideologiczne, polityczne, społeczne, gospodarcze. Na początku lat 90. Rosja była de facto państwem upadłym, nad którym kontrolę przejmowały niewielkie grupy oportunistów, którzy w wyniku tej operacji stali się oligarchami. W konsekwencji w Rosji cały czas utrzymuje się ogromna różnica w poziomie dostatku między najbogatszymi i najbiedniejszymi. W tym kraju właściwie nie ma klasy średniej, która by powstała, gdyby Rosja stała się demokracją i wytworzyła charakterystyczne dla tego systemu rządów instytucje. Bo dziś w Moskwie tego typu instytucji nie ma, zostały zniszczone w czasie rewolucji lutowej w 1917 r. i później nikt ich nie odtworzył.

Jeszcze jedna analogia. Po rewolucji 1917 r. armia rosyjska

natychmiast ruszyła na zachód w kierunku Ukrainy i Polski, aby podporządkować sobie te kraje. W 2022 r. armia rosyjska ponownie ruszyła na zachód, aby podporządkować sobie Ukrainę. Dlaczego ciągle w tę stronę?

Lenin zdecydował się zaatakować w 1919 r. z trzech powodów. Pierwszym była chęć przeniesienia rewolucji na kolejne tereny, rozpoczęcia światowej rewolucji. Po drugie, on obawiał się, że bolszewicka Rosja zwyczajnie nie przetrwa bez wojny, przecież podstawą do przewrotu była właśnie myśl o światowej rewolucji. I powód trzeci. Marksisci w Niemczech uważali, że rewolucja jako pierwsza wybuchnie w ich kraju - i byli przekonani, że na pewno do niej nie dojdzie w Rosji. Stało się inaczej, ale rewolucja w Niemczech też wybuchła, tylko rok później, w 1918 r., zaczynając się od buntu marynarzy w listopadzie tamtego roku.

W kwietniu 1919 r. powstała Bawarska Republika Rad. Zasięg rewolucji w Niemczech ciągle się rozszerzał. Rosjanie uznali, że powinni się z nią połączyć, by w ten sposób przekonać niemiecki proletariatus, że warto dołączyć do tej rewolucji. Z tych właśnie powodów armia czerwona zaatakowała Polskę.

A w 2022 r. zaatakowała Ukrainę, choć o żadnych eksportach rewolucji już nikt nie mówi. W tym miejscu nie szukałbym analogii historycznych, nie da się porównać obecnej sytuacji z 1917 r. Przez te ponad 100 lat wiele rzeczy uległo zmianie. Dziś Putin kieruje przede wszystkim

przekonanie o potrzebie odbudowy dawnego carskiego imperium - on bardziej dąży do tego niż do odtworzenia Związku Radzieckiego. Właśnie dlatego na początku rozmowy podkreślałem, że ideologicznie nawiązuje on do czasów Rosji białej, a nie bolszewizmu. Wiem, że brzmi to paradoksalnie, ale to prawda.

Bez względu na to, czy Rosja jest biała czy czerwona, jedno tam nie ulega zmianie: władzę sprawuje w niej jedna osoba. Na Kremlu nigdy nie ma kolektywnego przywództwa, nie mówiąc już o próbach demokratyzacji tamtejszych władz. Dlaczego Rosja nawet nie próbuje innych rozwiązań? Skąd to przekonanie, że tylko silne rządy jednego przywódcy mogą być skuteczne?

Bierze się to z rozmiarów tego kraju. Rosja jest ogromna i utrzymuje się przekonanie, że tak wielkim państwem efektywnie może rządzić tylko jedna osoba posiadająca w ręku silną władzę centralną. Taka mentalność ukształtowała się jeszcze w czasach carskich, gdy stolicą Rosji był Petersburg. Piszę o tym na początku swojej książki, gdzie przytaczam rozmowę żony księcia Marlborough z carem Mikołajem II - ona go zapytała o możliwość demokratyzacji Rosji, na co on odparł, że Rosja jest 200 lat za Europą pod względem rozwoju własnych instytucji i dlatego musi być rządzona autokratycznie.

Jeszcze Mikołaj II dodał, że Rosja jest bardziej azjatycka niż europejska. Później ten sposób myślenia przeniósł się wraz z bolszewikami do Moskwy. Rosyjskie

*ROSJA TRAKTUJE WOJNĘ JAKO
JEDEN Z ELEMENTÓW POLITYKI.
NIE PRZYPADKIEM DO DZIŚ
NIE ZMIENIŁA ONA SWOJEJ
DOKTRYNY WOJENNEJ*



Beevor: Lenin zaatakował Polskę w 1919 r., bo chciał rozpocząć światową rewolucję. Poza tym obawiał się, że bolszewicka Rosja nie przetrwa bez wojny, przecież podstawą do przewrotu była myśl o tej rewolucji

władze nieustannie obawiają się, że nastąpi dezintegracja ich kraju, gdy system władzy się załamie. Ten strach czuje także Putin. Obawia się, że z rządzoną przez niego Rosją może się stać to samo, co spotkało Związek Radziecki. Już w orędziu w 2005 r. mówił, że jego rozpad był największą katastrofą geopolityczną XX wieku i on naprawdę tak uważa. To nie przypadek, że on stawia pomniki generałom carskiej armii – w ten sposób podkreśla znaczenie imperium rosyjskiego z czasów rządów „białych” i chce je odtworzyć. Przejaw myślenia w kategoriach wielkiej Rosji, której Ukraina – w jego ocenie – stanowi nieodłączną część. Ukraina z jej ziemiami uprawnymi od dawna jest uważana jako niezbędny element do tego, by Rosja mogła odnosić sukcesy jako państwo.

Porównując sytuację z lat 1917–1921 z obecną, uderza skrajna brutalność, z jaką Rosjanie traktują siebie nawzajem i innych. Jakiej jest jej źródło? Czy jest to cecha charakterystyczna Rosji?

Ma to swoje źródło w XIII wieku i inwazji mongolskiej. Tamte najazdy niosły ze sobą zniszczenie, zagładę, gwałty – i one stanowiły istotny element całej wojny, służyły terroryzowaniu podbijanych narodów. Akurat podobnie postępowały w tamtych czasach państwa Europy Zachodniej. Tyle że po wojnie trzydziestoletniej, która była niezwykle brutalna, w Europie przestano stosować brutalność jako broń. Zwłaszcza po Oświeceniu w Europie Zachodniej i Środkowej bardziej humanitarne podejście wzięło górę. Ale ta zmiana w Rosji nigdy nie nastąpiła. Ten kraj nigdy nie doświadczył zmian, jakie przy-

niosło Oświecenie, nigdy nie zdecydował się na liberalne reformy, które wprowadzały państwa europejskie. Widzimy to teraz na Ukrainie. W Rosji nie zmienił się nawet stosunek do wojska. O ile w armiach zachodnich podejście stało się dużo bardziej humanitarne, to rosyjscy żołnierze są cały czas upokarzani, fatalnie traktowani, hierarchia w armii opiera się na brutalności dowódców. Tak było w czasach carskich, sowieckich i tak jest teraz. Przekłada się to na stosunek rosyjskich żołnierzy do cywilów. Oni sami są tak fatalnie traktowani, że odregowują na mieszkańcach zdobytych terenów. Pamiętam, jak w latach 90. – przeglądając archiwa w Rosji – znalazłem informację, że rocznie samobójstwa popełnia 5 tys. żołnierzy z poboru, którzy nie wytrzymywali brutalności swoich przełożonych.

W 1920 r. Armia Czerwona ruszyła na Polskę, by dokonać eksportu rewolucji i dołączyć do rewolucji w Niemczech. Teraz regularnie powracają groźby ze strony rosyjskich władz i mediów pod adresem Polski. Jak poważnie powinniśmy je traktować? Jest możliwa powtórka z wojny 1920–1921?

Polska zaczęła się szybko dozbierać, modernizować armię. Stanowi też ważną część NATO. Ale dla Rosji Polska jest odwiecznym wrogiem. Rosjanie do dziś pamiętają fakt, jak Polacy zajęli Moskwę w 1610 r. Ten wątek zresztą regularnie powraca w ich propagandzie jako przykład tego, jak Rosja jest atakowana i że jest krajem muszącym się ciągle bronić – ten sposób odwracania rzeczywistości jest tam powszechny. Polska odgrywa w tym szczególną rolę, bo

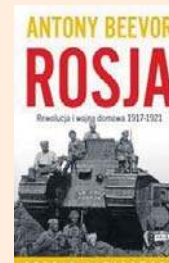
w przeszłości ataki na Rosję szły albo z waszego kraju, albo przez niego. Ta propaganda stała się już elementem rosyjskiej mentalności, w ten sposób rosyjskie władze uzasadniają własną agresywną politykę. Klasyczne myślenie skutków z przyszłą. Wcześniej robili tak naziści, którzy uzasadniali swoją politykę retoryką o tym, jak Żydzi i lewica wbili Niemcom w czasie I wojny światowej nóż w plecy. Dziś w Rosji obserwujemy podobną retorykę, podobne odwracanie znaczeń poszczególnych zdarzeń.

Czyli Polska dalej pozostanie wrogiem numer jeden Rosji?

Rosja za swoich największych wrogów uważa Stany Zjednoczone, Wielką Brytanię i Polskę. Te trzy kraje najczęściej pojawiają się w rosyjskiej propagandzie, są łą-

czone choćby z wizjami zrzućenia na Rosję bomby nuklearnej. Polska natomiast świetnie się sprawdza jako historyczny wróg, którym można straszyć. Rosjanie zawsze sięgali po ten historyczny argument i nie przestaną tego robić.

KSIAŻKA



Antony Beevor
„Rosja. Rewolucja i wojna domowa 1917–1921”,
wyd. Znak, Kraków 2023

To czym ty się zajmujesz, Marysiu? - Jestem UX-designerem. - A konkretnie, co robisz? - Mamuś, najkrócej, robię wszystko, żebyś np. po skorzystaniu z aplikacji w smartfonie powiedziała, że korzystało ci się prosto, przyjemnie i pomogło ci to w życiu. - Aha...

Takie dialogi to wcale nie melodia przyszłości. Już dziś rodzice (nie mówiąc o dziadkach) miewają spore problemy ze zrozumieniem, czym w pracy zajmują się ich dzieci. Okragłe oczy do kwadratu im się robią, gdy wynikiem „tej czarnej magii” są comiesięczne przelewy od pracodawcy rzędu 5-8 000 złotych; tyle zarabiają UX-designerzy, mający po dwadzieścia kilka lat.

„Projektowanie doświadczeń” na czele zawodów przyszłości

UX-designer to skrót od angielskiego „User Experience Designer”. W prostym tłumaczeniu oznacza projektanta owego UX, czyli pozytywnego doświadczenia użytkownika. Gdy mowa jest o projektowaniu UX, mamy na myśli koncentrację na tym, by użytkownik był w stanie łatwo zrealizować swój cel w aplikacji albo na stronie internetowej i czerpał z tego satysfakcję.

Taki projektant nie tylko musi być za pan brat z technologią. Powinien być też empatyczny, komunikatywny, cechować się analitycznym myśleniem, ale i mieć zmysł estetyczny.

- To profesja na pograniczu informatyki, psychologii i socjologii - objaśnia 26-letnia Olga z Torunia.

Konkretnie czynności, które wykonują UX-designerzy? „Jego obowiązki mogą być bardzo różnicowane i wiele zależeć będzie od firmy i projektu, nad którym się pracuje. Jednak do standardowych zadań można zaliczyć na pewno: projektowanie interakcji i makiet - jest to planowanie tego, jak będzie działać aplikacja i w jaki sposób można w niej wykonać określone czynności. Specjalista UX zajmuje się także badaniami i testowaniem rozwiązań z użytkownikami: weryfikuje pomysły i przygotowane rozwiązania. UX Designer współpracuje blisko z grafikami i programistami, którzy wdrażają jego pomysły. W niektórych przypadkach może mieć też wpływ na strategię produktu” - wyliczają specjaliści ze szkoły IT Coders Lab (coderslab.pl).

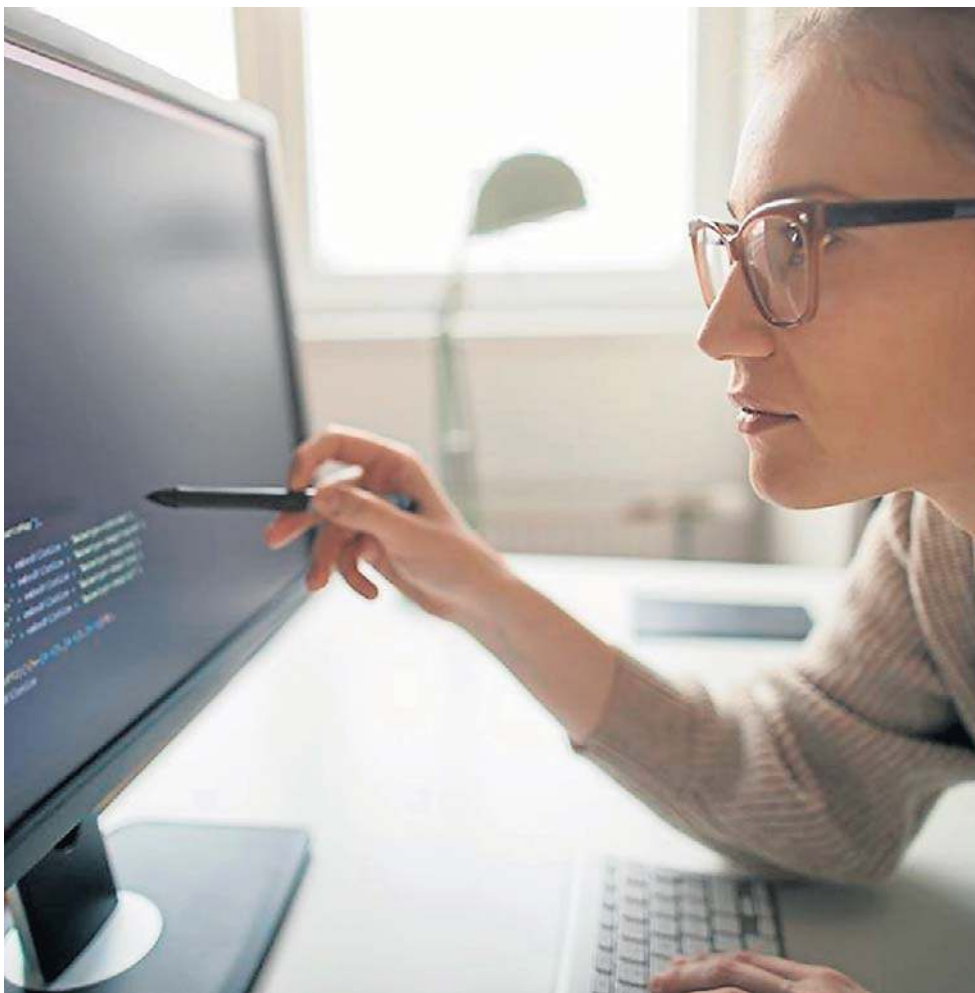
„Korzystanie z tego było proste i przyjemne”, „Polecę tę aplikację innym”, „Tego potrzebowałem! Dzięki temu swoje zadania wykonuję szybciej, łatwiej i przyjemniej” - jeśli takie opinie wystawia użytkownicy aplikacji (czy innym produktom), to znaczy, że UX-designer dobrze wykonał swoją robotę.

Ta profesja jest dziś określana jako jedna z najbardziej przyszłościowych. Już teraz bywa napra-

ZAWODY Z WIDOKIEM NA PRZYSZŁOŚĆ

65 procent dzieci rozpoczynających edukację będzie pracować w zawodach, które jeszcze nie istnieją! Ba, już dziś miewamy problem ze zrozumieniem, co robią i jak zarabiają młodzi

Małgorzata Oberlan



Nadzieja w tym, że nawet sztuczną inteligencję musi jednak zaprojektować człowiek

wdę dobrze opłacana, a młody wiek pracownika często okazuje się zaletą. Szczególnie wtedy, gdy zajmuje się produktem adresowanym do odbiorców ze swojego pokolenia. Od razu dodajmy, że jej siostra (choć nie bliźniaczka) to profesja nazywana UI-designer. Ten projektant odpowiada za tworzenie przyjaznego i estetycznego interfejsu.

Karmelarze, promotorzy, droniarze, eventowi fotograficy i inni

- Mówimy o sobie „promo”. To skrót od promotora usług turystycznych. Pracując dla biura

turystycznego, które sprzedaje głównie anglojęzycznym turystom - jednodniowe wycieczki, rejsy statkiem po Wiśle itp. Moim zadaniem jest przyciągnięcie takiego klienta, a najlepiej całej rodziny lub grupy. Samą sprzedaż zajmuje się już inny pracownik. A swoich promotorów mają restauracje, kluby, knajpy, prywatne muzea. Wszyscy gdzieś o siebie zahaczamy w centrum miasta, walcząc o klienta - opowiada Olga, pochodząca z Torunia studentka, która pracuje w Krakowie.

Promotorzy i promotorki to na przykład ludzie, których

gnerzy”; język, jak zawsze, z czasem się dostosuje.

Na razie niektórych uszybola, gdy słyszą o „eventowych fotografach” (robią fotograficzne relacje z klubów i imprez), „droniarzach” (obsługują drony), „sushi-masterach” (przygotowują sushi) czy „pizzermanach” (tych, szczęśliwie, zaczęli wypierać już zwykli „pizzernicy”).

Całkiem ładnym określeniem wydaje się za to „karmelarz”. Czym się zajmuje? Przygotowywaniem (ręcznym) cukierków, likorów i innych słodkich przysmaków. Na przykład w lokalach Manufaktury Cukierków i podobnych słodkich sieciówkach, które w ostatnich latach podbiły centra polskich miast.

Nowych profesji przybyło w ostatnim czasie nie tylko w branży gastronomicznej, rozrywkowej i turystycznej. Nauka, medycyna, przemysł, IT - w tych dziedzinach pojawiają się specjalizacje i zawody, których nawet długie opisy zwykłemu śmiertelnikowi niespecjalnie rozjaśniają w głowie.

Większość rodziców dziś nie podejrzewa, co będą robić ich dzieciaki

Za pięć, dziesięć czy piętnaście lat będziemy marzyć o zupełnie innych ścieżkach kariery niż obecne. O tym, jakie możliwości zawodowe są najbardziej przyszłościowe, przeczytamy w raporcie Polskiej Agencji Rozwoju Przedsiębiorczości (PARP) z lipca 2023 roku („Rynek pracy, edukacja, kompetencje”). „Współcześnie dominuje przekonanie, że niektóre zawody, zwłaszcza te niewymagające specjalistycznej wiedzy i umiejętności, zostaną wyparte przez sztuczną inteligencję. Prognozy są jednak dość zróżnicowane” - czytamy w raporcie PARP.

Według ekspertów Światowego Forum Ekonomicznego do 2025 roku nawet 85 mln miejsc pracy na całym świecie może zostać zastąpionych przez maszyny i procesy automatyzacji, jednocześnie powstanie 97 mln nowych profesji. Dla wielu osób oznacza to konieczność przekwalifikowania lub przebranżowienia. Naukowcy z Oxfordu przewidują, że do 2061 roku sztuczna inteligencja zdominuje rynek pracy, ale w pełni zastąpi ludzi dopiero w roku 2136.

„Szacunki z innego źródła (Organizacja Współpracy Gospodarczej i Rozwoju) wskazują z kolei, że 65 procent dzieci rozpoczynających obecnie edukację będzie pracować w zawo-

dach, które jeszcze nie istnieją - przytacza PARP.

Oczywiście, przy okazji takiego prognozowania nie da się uciec od tematu sztucznej inteligencji i pytania: „Czy zastąpią nas roboty?”. PARP studzi emocje: firmy dopiero wkraczają na ten teren, wśród krajów Unii Europejskiej sztuczna inteligencja jest wprowadzona na poziomie 23 proc. w Irlandii, 12 proc. w Finlandii i 11 proc. w Danii, do 3 proc. na Węgrzech i Słowenii oraz 2 proc. na Łotwie.

„Profesje, które mogą zostać zautomatyzowane, stanowią średnio 27 procent całego zatrudnienia globalnie. Najbardziej zagrożone są miejsca pracy wymagające niskich i średnich kwalifikacji, w tym budownictwo i górnictwo, rolnictwo, rybołówstwo i leśnictwo, a w mniejszym stopniu zawody związane z produkcją i transportem. Wskazuje się, że branże wymagające wysokich kwalifikacji charakteryzują się najniższym ryzykiem automatyzacji. Tym samym najmniej zagrożone są zawody związane z zarządzaniem oraz usługami społecznymi i socjalnymi” - wylicza PARP.

Zawody przyszłości do 2038 roku

„Oto zawody przyszłości. Na kogo będzie zapotrzebowanie za 5, 10 i 15 lat?” - tak nazywa się publikacja ekspertów agencji Personnel Service z lipca 2023 roku, która została ujęta w raporcie PARP.

W ciągu następnych 5 lat wzrośnie zapotrzebowanie na: specjalistów od energii odnawialnej, specjalistów ds. cyberbezpieczeństwa (w związku z postępującą digitalizacją), specjalistów od analizy i interpretacji danych genetycznych i biologicznych ze względu na rozwój technologii z tym związanych (inżynierowie informatyki), specjalistów ds. edukacji online oraz tych zajmujących się zdrowiem psychicznym.

A za 10 lat? Zapotrzebowanie będzie między innymi na specjalistów od sztucznej inteligencji, specjalistów ds. edycji genów, ekonomistów kryptowalut czy technologów żywności (którzy zajmować się będą na przykład produkcją mięsa z hodowli komórkowej).

Za 15 ze względu na to, jak rozwinie się sztuczna inteligencja, całkiem możliwe, że pożądanymi specjalistami będą eksperci zajmujący się etyką AI. Innymi zawodami, które mogą być szczególnie poszukiwane, mają być między innymi: specjalista ds. adaptacji klimatycznej czy inżynierowie biomedycyny zajmujący się terapiami genowymi.

Tak to może wyglądać w okolicach 2038 roku. Może, ale nie musi. Świat tak przyspieszył, że prognozowanie na temat rynku pracy jest takim samym wyzwaniem, jak przewidywanie pogody z miesięcznym wyprzedzeniem...

WG EKSPERTÓW ŚWIATOWEGO FORUM EKONOMICZNEGO DO 2025 ROKU NAWET 85 MLN MIEJSC PRACY NA CAŁYM ŚWIECIE MOŻE ZOSTAĆ ZASTĄPIONYCH PRZEZ MASZYNY I AUTOMATYZACJĘ

STUDNIÓWKA JAK WESELE. RODZICE MATURZYSTÓW WYDAJĄ TYSIĄCE ZŁOTYCH

Dwa tysiące za DJ-a, kilkadziesiąt tysięcy za restaurację, koszt dodatkowych atrakcji, do tego sukienka, garnitur, fryzjer. W rezultacie koszt organizacji studniówki dla kilku klas może wynieść nawet 100 tysięcy złotych, indywidualne wydatki maturzysty – kilka tysięcy

Emilia Ratajczak

Kinga jest uczennicą trzeciej klasy liceum na południu Wielkopolski. Organizowała już połowinki, w zeszłym roku debiutowała przy organizacji studniówki dla kolegów, w tym roku robi to po raz drugi. Trzecia studniówka, która odbędzie się za rok będzie jej własną.

Jak mówi, organizowanie studniówki zaczyna się nawet półtora roku wcześniej.

- Na początku trzeba porozmawiać ze wszystkimi uczniami i dowiedzieć się, ile osób byłoby potencjalnie chętnych. Dopiero wtedy, kiedy wie się mniej więcej, jaka liczba osób będzie brała udział w imprezie, można zacząć szukać restauracji czy lokalu - opowiada Kinga.

Na początku robi się research restauracji, porównuje ceny i lokalizację.

- DJ-a i fotografa rezerwuje się około roku wcześniej - wyjaśnia. - Z miesiąca na miesiąc ustala się coraz bardziej konkretne rzeczy - ostateczną liczbę osób, menu, dekoracje i dodatkowe atrakcje.

Przyznaje, że ze strony potencjalnych uczestników oprócz pytań o dodatkowe koszty atrakcji padają czasem też nietypowe.

- Pytano mnie na przykład o to, o to kto płaci za usunięcie wymiocin, kto ponosi koszt ewentualnych uszkodzeń w lokalu oraz np. czy jest opcja hotelu albo wniesienia alkoholu i postawienia go na stół - relacjonuje.

Zaproszenie to początek

Najdroższe jest wynajęcie restauracji i catering. Dziś nikt już nie bawi się przy kanapkach i sałatkach przygotowywanych przez mamy z komitetu rodzicielskiego. Studniówkowe menu do złudzenia przypomina to weselne.

Przeciętnie to koszt około 300 zł od osoby, choć może sięgnąć nawet 600 zł.

Usługi DJ-a, z dobrą renomą to na ogół około 2500 zł. Do tego dochodzą koszty fotografa lub w wersji droższej nakręcenia filmu ze studniówki, dekoracji, zaproszeń, winietek, kwiatów



Przyszłe maturzystki stawiają na sukienki maxi, odsłonięte ramiona i dekolty. I wkładają czerwoną podwiązkę

czy dodatkowych atrakcji takich jak fotobudka. Koszt całej imprezy zależy oczywiście od liczby osób, ale lwia część ponoszą rodzice maturzystów.

- Jeżeli w tym roku jest studniówka na około 250 osób - razem z nauczycielami, uczniami i osobami towarzyszącymi, to maturzystów będzie tam około 100 - wyjaśnia Kinga. - Studniówka dla takiej liczby osób może kosztować 50-80 tysięcy złotych, taka z wieloma atrakcjami, na wysokim poziomie - nawet 100 tys. zł. Jednak szkoła zawsze ma dofinansowania z rady rodziców - w naszym przypadku było to około 8 tysięcy złotych - podkreśla.

Ostatecznie sam udział w studniówce maturzysty to przeciętnie 500 zł, jeśli na studniówkę pójdzie sam. Osoba towarzysząca zapłaci tylko za talerzyk, a więc przeciętnie 300 zł.

Kosztowne kreacje

Oprócz przygotowań sali, menu, fotografa czy DJ-a, maturzyści, a szczególnie maturzystki chcą zadbać również o własny wygląd.

W internetowych butikach, gdzie ubrania nie są szyte hurtowo, ceny są różne, ale przeważnie oscylują między 300 a 500 złotych za sukienkę, choć zdarzają się i takie za blisko 800 złotych. Górnej granicy w zasadzie nie ma. Ceny skromnych koktajlowych sukienek, w sam raz na studniówkę, w MaxMarze zaczynają się od nieco powyżej 2 tysięcy złotych, za bardziej wyszukane kreacje trzeba zapłacić powyżej 7 tys. zł.

Ale w najpopularniejszych sieciówkach jest oczywiście o wiele taniej.

W Sinsay małą czarną można kupić nawet za 20 złotych. W cenie do 80 zł można wybierać spośród kilku modeli. W H&M ceny są nieco wyższe. Tutaj za sukienkę zapłacimy średnio od 80 do nawet 280 złotych. Zara jest jedną z droższych sieciówek. Sukienki kosztują tu od około 100 do 500 złotych.

Ceny w chętnie odwiedzanych sklepach stacjonarnych nie odbiegają wiele od propozycji sieciówek.

Weronika - sprzedawczyni w butikiu Duo na poznańskich Jeżycach - uważa, że wśród

kreacji na studniówkę królują długie - przeważnie czarne, ale również czerwone, niebieskie czy zielone. Przyszłe maturzystki stawiają na odsłonięte ramiona, wycięte plecy oraz dekolty.

Tuż obok - w salonie Bialcon - kreacje są nieco droższe - kosztują około 500-600 zł. Ale, jak twierdzą sprzedawczynie, u nich sukienki na studniówkę kupują raczej...nauczycielki.

Do sukienki trzeba dobrać buty i torebkę. W wersji najbardziej ekonomicznej, razem z sieciówką to wydatek około 250 zł.

- Chłopcy mają prościej - uważa Kinga. - U nich jest kwestia kupienia garnituru czy dodatków np. butów czy paska. U dziewczyn jest tego zdecydowanie

więcej - sukienka, makiż, fryzjer, paznokcie czy biżuteria. W dzisiejszych czasach dziewczyny muszą wydać od 800 do nawet 1300 złotych - mówi Kinga, która na swoje przygotowania chce wydać około 1000 złotych.

Męska elegancja

Panowie muszą zaopatrzyć się w co najmniej spodnie i marynarkę, choć niektórzy kupują również koszulę, krawat czy muszkę, pasek oraz kamizelkę. Podstawowa wersja, czyli marynarka i spodnie, w sklepie Bytom kosztuje od 1000 złotych do nawet kilku tysięcy. W sieciówkach sytuacja jest zgoła inna. W H&M garnitur kupimy za 400 złotych, w Zarze średnio za 400-500.

Do tego trzeba doliczyć koszulę za minimum 50 zł oraz krawat. Ten ostatni to wydatek nie mniej niż 30 zł. Na najtańsze buty do garnituru trzeba wydać około 150 zł.

Można też ekskluzywnie. Salon Buczyński w centrum Poznania oprócz gotowych, oferuje też garnitury i koszule szyte na miarę.

- Jeżeli już ktoś kupuje gotowy garnitur to raczej granatowy - klasyczni - mówi Kacper, sprzedawca z salonu. - Jeśli jest szyty to miarę, to studniówkowi - trzymają się zieleni. Trendy są podobne jak w modzie ślubnej - podkreśla.

Za uszycie koszuli trzeba zapłacić minimum tysiąc złotych, garnitur na miarę kosztuje od 9 tysięcy złotych w górę.

Ostatni szlif

Przyszłe maturzystki, jeśli już decydują się ograniczać wydatki, to przeważnie na stroje, nie oszczędzają na paznokciach, fryzurach czy makijażach. Manicure hybrydowy w centrum Poznania kosztuje od 90 do 150 złotych, za ułożenie fryzury w salonie fryzjerskim natomiast zapłacimy średnio 150 złotych. Makiż studniówkowy to również duży koszt - od 200 do 350 złotych.

Tu panowie mają zdecydowanie łatwiej. Na ogół wystarczy im wizyta u fryzjera. Za tę trzeba zapłacić od 50 do 135 zł.

Tak więc w wersji najbardziej ekonomicznej koszt studniówki wraz z zaproszeniem to przynajmniej około tysiąca złotych. Niewiele trzeba, by tę sumę podwoić. Wydatki rzędu 3 tysięcy złotych też nie należą do rzadkości.

Drogie wspomnienia

Ale, jak twierdzą młodzi, noc studniówkowa pochłania tyle pieniędzy nie bez przyczyny. Przyszli maturzyści uważają, że to jeden z ważniejszych dni w ich życiu.

- Studniówka jest ważnym dniem, bo wiadomo, że jest to taka ostatnia impreza w życiu szkolnym. Niektórzy pójdą na studia, inni nie, dlatego każdy stara się, aby była ona wyjątkowa i żeby można było zapamiętać ją do końca życia - twierdzi Kinga.

Ile razy czytał pan Trylogię?
Różnie, w zależności od części. „Potop” czytałem jakieś osiem razy, „Ogniem i mieczem” pięć razy, natomiast „Pana Wołodyjowskiego” tylko raz, bo był dla mnie zbyt smutny.

A czy jest pan człowiekiem odważnym?

Mam nadzieję, że tak, choć okazałoby się to pewnie w momencie próby.

Pytam, bo nie wiem, czy zdaje pan sobie sprawę, że porwał się pan na narodową świętość. Żeby uzupełnić Sienkiewiczowską Trylogię trzeba być człowiekiem na prawdę odważnym.

Początkowo pisałem to dla siebie. Miałem taką potrzebę, żeby móc przeczytać, co działo się przed czasami opisanymi w Trylogii, bo wydawało mi się, że są to bardzo ciekawe czasy. Zawsze zastanawiałem się, dlaczego nikt ich wcześniej nie opisał. W międzyczasie moja córka zaczęła pracować nad swoją książką, więc pomyślałem sobie, dlaczego nie ja? Nic nie mówiąc nikomu pisałem sobie w tajemnicy. W pewnym momencie ujawniłem się przed rodziną i okazało się, że tekst się podoba. To mnie zachęciło. Gdy skończyłem, zacząłem szukać wydawcy. Zainteresowało się krakowskie wydawnictwo Astra, które od razu zdecydowało się opublikować książkę. Od pierwszego kontaktu do wydania powieści minęły zaledwie cztery miesiące. Wracając zaś do odwagi: część osób zarzucała mi, że żeruję na świętości i że podrabiam Sienkiewicza. Nie. To rodzaj mojego hołdu dla tego pisarza, którego uwielbiam. Dlatego starałem się, żeby moja powieść napisana była typowym stylem Sienkiewicza i żeby charakter jego postaci był zachowany

Na czas akcji swojej książki wybrał pan początek XVII w. A więc okres przed wydarzeniami Sienkiewiczowskiej Trylogii, która zaczyna się w 1648 r. Skąd taki właśnie okres?

Gdy zacząłem myśleć o swoim projekcie, od razu założyłem, że będą trzy części. A od początku XVII w. pojawiają się w naszej historii bardzo ciekawe wydarzenia. Po pierwsze wojna ze Szwecją w Inflantach i bitwa pod Kircholmem, jedna z najbardziej znanych bitew w historii polskiego oręża. Potem mamy wyprawę na Moskwę i bitwę pod Kłuszynem. A na koniec mamy walki z Turkami i bitwę pod Chocimiem. W ten sposób niejako naturalnie kształtuje się nowa Trylogia i łatwo oprzeć ją na bardzo ciekawych wydarzeniach historycznych. Jednocześnie Sien-

POWSTAJE NOWA TRYLOGIA. ZAGŁOBA I WOŁODYJOWSKI NA SZLAKACH ZWYCIĘSTW I RZECZYPOSPOLITEJ

– Starałem się maksymalnie „pisać Sienkiewiczem”, a z drugiej strony chciałem, żeby było to zrozumiałe dla ludzi współczesnych. W Trylogii jest dużo długich wstawek łacińskich i dużo staropolszczyzny, która dziś mogłaby być uciążliwa dla czytelników, więc tego unikałem. Niemniej, cały czas dokładałem wysiłków, żeby książka była napisana w stylu przypominającym narrację Sienkiewicza i czytelnicy mogli to od razu odczuć – mówi Adam Stawicki, autor książki „Mrok Północy”, będącej prequelem Trylogii Henryka Sienkiewicza

Patryk Stachnik

kiewicz zostawił furtkę do takiego rozwiązania. Oto w „Ogniem i mieczem” Zagłoba ma 70 lat, więc 50 lat wcześniej jako młodziak mógł brać w nich udział. W roku 1600 mógł być dziarskim młodzieńcem pełnym werwy i pomysłów.

Sprecyzujmy, że akcja „Mroku Północy” toczy się podczas polsko-szwedzkiej wojny inflanckiej trwającej w latach 1600-1611. To dość mało znany konflikt.

Rzeczpospolita walczyła wtedy ze Szwecją o tereny w Inflantach, w tym o Estonię, którą król Zygmunst III Waza włączył do Polski. Rzeki, o wojnie tej słyszeli ci, którzy głębiej interesują się historią. Nie jest ona tak znana jak wojny z Turkami czy wyprawy na Moskwę. Jednym z moich celów było dotarcie do szerszego grona czytelników z opowieścią dotyczącą się właśnie w czasie tej wojny i to opowieścią, której bohaterowie byłiby postaciami z krwi i kości. W ten sposób chciałem przemycić wiedzę historyczną. Sam przynajmniej, że wcześniej wiedziałem o bi-

NASZ ROZMÓWCA



Adam Stawicki (ur. w 1976 r.), politolog, dziennikarz i urzędnik samorządowy. Absolwent Uniwersytetu Warszawskiego, warszawiak z urodzenia, z zamiłowania historyk i varsavianista. „Mrok Północy” jest jego literackim debiutem. Wydawcą jego nowej Trylogii jest krakowska oficyna Astra.

twie pod Kircholmem, ale szczegóły tego konfliktu nie były mi już tak bliskie. Wojny inflanckiej nie znamy. Mam nadzieję, że czytając „Mrok Północy”, jakaś część czytelników dowie się, jak ona wyglądała i jak się toczyła. A była to wojna bardzo dramatyczna. Gdy czytamy w „Ogniem i mieczem” i w „Potopie”, że najpierw następowała katastrofa, a dopiero potem przychodziło otrzeźwienie, to taką samą sekwencję mamy podczas wojny inflanckiej. W jednej ze scen opisuję, jak zdesperowany hetman Jan Karol Chodkiewicz w geście rozpacz-

chciał się wysadzić w ostatnim z inflanckich zamków, żeby wstrząsnąć sumieniem narodu. To nie jest mój wymysł, to absolutna prawda, tak było, Chodkiewicz naprawdę miał taki zamiar. Opisuując takie sytuacje, chcę pokazać, jak wiele możemy stracić, lekceważąc rozmaite zagrożenia dla naszego kraju.

Czy ta wojna jest atrakcyjna dla pisarza? Czy ma efektowne momenty mogące porwać czytelnika?

Zawsze dziwiłem się, że Sienkiewicz, pisząc Trylogię, nie zdecydował się na umieszczenie akcji właśnie podczas

wspomnianych przeze mnie wcześniejszych wojen toczonych przez Rzeczpospolitą. Być może zdecydowały o tym ówczesne względy cenzorskie. Jak wszyscy lubimy Trylogię, to niektórzy mogą się jednak czuć zawiedzeni, że opisy bitewne dotyczą często niewielkich potyczek, w dodatku wyolbrzymionych przez autora. Natomiast wielkie bitwy – pod Beresteczkiem, Warszawą, Chocimiem – są potraktowane dość skrótowo. Natomiast w przypadku wojny inflanckiej mamy taką obfitość bitew, w których Polacy wspinali się na wyżyny kunsztu wojkowego, że opisywanie ich jest przyjemnością. Myślę, że miłośnicy batalistyki będą zadowoleni, bo w „Mroku Północy” jest jej znacznie więcej niż w Trylogii Sienkiewiczowskiej.

Sienkiewicz, pisząc swoje dzieło, korzystał z prac historycznych i pamiętników z epoki. A pan na czym się opierał?

Najbardziej pomocna była wydana w 1938 r. „Wojna inflancka” historyka Stanisława Herbsta. Bez niej moja

książka nie mogłaby powstać. Wprawdzie obejmuje ona tylko pierwszą część tego konfliktu w latach 1600-1602, ale obfitość wydarzeń, dokładność ich opisu, liczba nazwisk, jakie się tam pojawiają, są nieocenione. Korzystałem też z wielu innych opracowań i biografii, ale Herbst zdecydowanie był najważniejszy.

Co przy pisaniu stwarzało największą trudność?

Zdecydowanie opisy życia codziennego, ubiorów, jedzenia. Znacznie prościej opisywało mi się sprawy żołnierskie. Musiałem sięgać do rozmaitych źródeł, żeby poznać te realia i właściwie je odtworzyć. Samo ustalenie wyglądu ówczesnych inflanckich zamków nie było łatwe, bo większość z nich dziś już nie istnieje. Trzeba było sięgać po XVI- i XVII-wieczne opisy oraz współczesne ich wizualizacje. Po takim Kokenhausen została dziś kupka gruzów, po innych twierdzach podobnie.

Na bohaterów „Mroku Północy” wybrał pan młodego Onufrego Zagłobę i ojca Michała Wołodyjowskiego – Je-



Bitwa pod Kircholmem na obrazie V



Wojciecha Kossaka

FOT. WIKIPEDIA

rzego. Czy ten wybór od razu był oczywisty? Czy brał pan też pod uwagę kogoś innego? Od początku było dla mnie jasne, że główną postacią mojej książki będzie Zagłoba. Do niego zaś pasował mi ojciec pana Michała - młody porucznik Jerzy Wołodyjowski. Potem dołożyłem postać kobiecą - Julię Kurczówną, a już w trakcie pisania przysłała mi do głowy druga postać kobiecą - Konstancja de Lorche. To ostatnie nazwisko również jest hołdem dla Sienkiewicza i pochodzi z jego „Krzyżaków”. Pojawiły się zarzuty, że zapożyczyłem z „Wiedźmina” postać Borchy herbu Trzy Kawkie. Od razu mówię wprost - nigdy nie czytałem książek o Wiedźminie, więc to zupełnie przypadek.

Zagłoba i Wołodyjowski z „Mroku Północy” są tacy jak u Sienkiewicza. Te pierwszy to bufon, pieczeniarz, miłośnik jedzenia, picia i kobiecych wdzięków. Ten drugi to cnotliwiec i świetny żołnierz. Nie kusiło pana, by dołożyć im czegoś od siebie? Uznałem, że nie ma takiej potrzeby. Postać Zagłoby należało oczywiście odmłodzić,

ale jednocześnie zależało mi, żeby pokazać, że wszystkie znane z Trylogii przechwałki tego bohatera nie były samym koloryzowaniem. I że jego opowieści, jakim to był niegdyś żołnierzem, bawidamkiem i opojem, nie były tylko fantazją. Uznałem, że część tych relacji powinna być jednak prawdą i starałem się to pokazać w książce. Mam nadzieję, że mi się udało. Natomiast Wołodyjowski to gorący patriota, cnotliwy człowiek i dobry żołnierz. Od samego początku ta postać była dla mnie pełna cnót rycerskich. Dodam, że pisząc „Mrok Północy”, starałem się wyobrazić sobie te postacie i stworzyłem w tym celu hipotetyczną obsadę filmową. Wołodyjowskiego i Zagłobę musieliby zagrać mniej znani młodzi aktorzy, ale w innych rolach widzę popularnych artystów. Na przykład Piotr Adamczyk mógłby być czarnym charakterem hrabią Bergiem, Jakub Wesołowski królem Zygmuntem III Wazą, Maciej Musiał Wilhelmem Kettlerem, Marcin Perchuć wojewodą Jerzym Farenachem, Kinga Preis kniahinią,

Artur Żmijewski kniazem, a znany z serialu „W labiryncie” Piotr Skarga wydaje mi się idealny, by zagrać... księdza Piotra Skargę.

W powieści historycznej wzorowanej na Sienkiewiczu nie mogło zabraknąć wątku miłosnego. Wprowadził pan dwie białogłowy towarzyszące wspomnianym dwóm bohaterom. Początkowo miała być tylko jedna postać żeńska - ukochana Jerzego Wołodyjowskiego. W pewnej chwili przyszło mi jednak do głowy, że Zagłoba również powinien mieć partnerkę, mimo że on przecież kochał wszystkie kobiety. Zależało mi też, żeby obie bohaterki kobiece były kontrastowe. Tak jak Zagłoba i Wołodyjowski różnią się charakterami, tak samo różnią się ich partnerki - Julia Kurczówna i Konstancja de Lorche. Starałem się, żeby wszystkie te postacie nie były mdłe, miały wyraziste charaktery i żeby jakoś wzajemnie się uzupełniały.

Czy pracował pan nad językiem, aby był zbliżony do frazy Sienkiewicza?

Starałem się maksymalnie „piścić Sienkiewiczem”, a z drugiej strony chciałem, żeby było to zrozumiałe dla ludzi współczesnych. W Trylogii jest dużo długich wstawek łacińskich i dużo staropolszczyzny, która dziś mogłaby być uciążliwa dla czytelników, więc tego unikałem. Niemniej, cały czas doкладаłem wysiłków, żeby książka była napisana w stylu przypominającym narrację Sienkiewicza i czytelnicy mogli to od razu odczuć. Pisząc „Mrok Północy”, jednocześnie cały czas czytałem którąś z części Trylogii, najczęściej było to „Ogniem i mieczem”.

Czy pańskim zdaniem jest w dzisiejszej Polsce zapotrzebowanie na taką historyczną literaturę powieściową? Myślę, że takie zapotrzebowanie jest zawsze i taka literatura jest potrzebna. Zwłaszcza że jest jej na naszym rynku księgarskim mało. Jesteśmy zalani książkami kryminalnymi, sensacyjnymi i fantastycznymi, natomiast powieści historycznych nie ma zbyt wielu. Uważam, że jest miejsce na rynku dla takiej literatury i że znajdują się dla niej czytelnicy. Dodam, że

na Facebooku istnieje grupa dyskusyjna „Trylogia Henryka Sienkiewicza”, która ma 10 tysięcy członków.

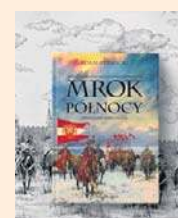
A jak książka została przyjęta? W 80-90 procentach głosy czytelników są bardzo pozytywne. Wiele osób już pyta, kiedy będzie druga część. Zdarzają się osoby, które mimo znacznej objętości książki szybko ją pochłonęły i bardzo im się podobała. Doceniają, że jest to nawiązanie do Sienkiewicza i do stylu Sienkiewiczowskiej literatury.

„Mrok Północy” to pierwszy tom nowej Trylogii. O czym będą dwie kolejne części? Część druga ukaże się w 2024 r. i będzie nosić tytuł „Korona carów”. Jej akcja toczyć się będzie podczas wojny polsko-moskiewskiej i dymitriad (1609-1618), a punktem kulminacyjnym stanie się bitwa pod Kłuszynem. Z kolei część trzecia - „Braterstwo krwi” - ma się ukazać za dwa lata. Wydarzenia będą się toczyć w latach 1619-1621 wokół wojny polsko-tureckiej i bitwy pod Cecorą oraz obrony Chocimia. Kircholm, Kłuszyno

i Chocim to trzy największe polskie bitwy początku XVII w. i trzy wielkie zwycięstwa polskiego oręża. Moi bohaterowie, Zagłoba i Wołodyjowski, będą uczestniczyć w tych wszystkich wydarzeniach i oczywiście w tych bitwach.

Podobno część książki została napisana na krakowskich Plantach... Bardzo lubię Kraków i bardzo chętnie do niego z żoną wracam. A ponieważ lubię prześiadywać na Plantach, to pewna część „Mroku Północy” rzeczywiście tam powstała.

KSIAŻKA



Adam Stawicki
Mrok północy
wyd. Oficyna Astra

MACIEJ KAWULSKI: DZIĘKI TEMU FILMOWI ZŁAPAŁEM KONTAKT ZE SWYM WEWNĘTRZNYM DZIECKIEM

Dziś wchodzi do kin nowa ekranizacja „Akademii pana Kleksa”. Rozmawialiśmy z reżyserem filmu – Maciejem Kawulskim, który opowiedział nam, jak realizacja tej wystawnej produkcji zmieniła jego życie

Patryk Gzyl

Kiedyś powiedział pan, że pomysły na projekty filmowe same do pana przychodzą. Jak było z „Akademią pana Kleksa”?

(śmiech) Podobnie. Trochę mnie namawiano na „Kleksa”. Moja firma była zainteresowana tym projektem już wcześniej, ale jeżeli chodzi o moje zaangażowanie jako reżysera, to podjąłem się tego zadania, dopiero kiedy mieliśmy uregulowane wszystkie prawa. Długo się jednak zastanawiałem, czy to jest dobry pomysł, bo filmy, które do tej pory wyreżyserowałem i wyprodukowałem, są raczej dla dorosłych. Mówienie do dzieci było dla mnie nowością, ale pomyślałem sobie, że jest to interesujące, ciekawe i rozwojowe. Zawsze lubiłem chadzać nowymi ścieżkami, zaryzykowałem i zacząłem przygotowania do tego projektu.

Z zapowiedzi wynika, że pana film będzie opowiadał zupełnie nową historię, tylko zainspirowaną powieścią Jana Brzechwy. Dlaczego nie zdecydował się pan na klasyczną ekranizację?

To nie do końca prawda. Na pewno nie zrobiliśmy remake'u filmu Krzysztofa Gadowskiego sprzed 40 lat. To coś kompletnie oddzielnego. Jeśli chodzi o Brzechwę, to ekranizujemy tę część jego powieści, która naszym zdaniem ostała się w granicach ogólnie pojmowanego uniwersalizmu i stwarza potencjał do tego, by dzieci utożsamiały się z jej bohaterami, znajdującymi się w tej przestrzeni. Dzisiaj nie ma już ze-

laznej kurtyny i polska popkultura miksuje się z zachodnią. Kino polskie musi więc mówić do dzieci w taki sposób, w jaki mówi do nich cały świat. Musieliśmy zatem dostosować język do współczesnego młodego odbiorcy, po to, aby go zainteresować i żeby to uniwersum mogło stać się również jego światem. Wszystko to, co jest wartościowe i godne pokazania, ma znamiona edukacyjne i rozwijające wyobraźnię, zostało wzięte z Brzechwy.

Jakich zmian dokonaliście?

Przed wszystkim cała historia jest obsadzona współcześnie. Usunęliśmy z niej słynną metaforę związaną z Holocaustem i wiele nieaktualnych elementów. W książce Kleks jadł szkołę, a pompka powiększająca jedzenie wydawała się marzeniem każdego, bo kiedy powieść się ukazała, widmo wojny było wciąż żywe i ludzie cierpieli głód. Gdybyśmy to pokazali dzisiaj na ekranie, to byłoby kompletnie niezjadliwe dla współczesnego widza. On nawet nie rozumiałby tych problemów. W związku z czym, w przeciwieństwie do tego, co robi szkoła, która jest zobligowana do analizy lektury takiej, jaka powstała, film ma możliwość przeniesienia najpiękniejszych elementów bajki w obszary, które są zrozumiałe dla obecnego widza. I skorzystaliśmy z tej szansy.

Najważniejszą zmianą ma być ta, za sprawą której zamiast Adasia Niezgódki pojawia się Ada Niezgódka. Skąd ten pomysł?

Nie ma w tym jakiegoś ukrytego planu. Skoro przez czterdzieści lat oglądaliśmy tę historię postrzeganą oczami chłopca, to spojrzmy teraz na ten świat oczami dziewczynki. I tyle. Adam i Ada są do siebie w pewnym sensie podobni: obie te postacie zachowały uniwersalizm płciowy, polegający na tym, że z naszą bohaterką będą chciały się utożsamiać dziewczynki i chłopcy.

Nie jest to pójsie za światową modą w kinie, gdzie obecnie stawia się ma mocne postacie kobiece?

Nie. W ogóle o tym nie myśleliśmy. Raczej zauważyliśmy, że literatura Brzechwy miała przesunięty suwak mocno w drugą stronę. Pamiętajmy, że do Akademii pana Kleksa nie wiadomo dlaczego nie były zapraszane dziewczynki. W związku z czym uznaliśmy, że już dość tej niesprawiedliwości i warto stworzyć przestrzeń koedukacyjną. Po pierwsze wpuściliśmy do tej szkoły dziewczynki, a po drugie - dzieci z całego świata. Dzięki temu Akademia Kleksa stała się inkluzywna - otwiera granice, burzy bariery, tworzy wspólną przestrzeń i platformę do porozumienia. Ponieważ punktem naszego odbicia była literatura mocno

niesymetryczna w tym względzie, postanowiliśmy przechylić się w drugą stronę. To zdecydowało - a nie jakieś mody w światowym kinie.

Wspomniał pan o słynnej ekranizacji powieści Jana Brzechwy sprzed 40 lat z Piotrem Fronczewskim w roli głównej. Wychowały się na niej pokolenia Polaków. Odwołujecie się do tego filmu w jakiś sposób?

Wyłącznie muzycznie. W takim sensie, że wydaje się nam, że tym, co przetrwało tak naprawdę próbę czasu, są piosenki. Oczywiście to nie jest wina żadnego z twórców, ale czasu, w którym tworzyli. W latach 80. nie było w Polsce komputerów i efektów specjalnych, więc tworzenie historii o magicznym i bajkowym świecie, nawet przy najbardziej wymyślnych kostiumach i scenografiach, było bardzo trudne. My mieliśmy możliwości, żeby pójść dalej, musieliśmy więc ten świat wymyślić na nowo, kompletnie nie sugerując się tym, co kiedyś było. Natomiast przetrwały piosenki. Stworzyliśmy dużo autorskiej muzyki i powoli zaczynamy się nią już dzielić. Korzystaliśmy przy tym z dokonań największych ikon muzycznych, ukrytych w soundtrackach tamtych filmów.

*FILM JUŻ PRZECIEŻ WIDZIAŁEM,
W ZWIĄZKU Z CZYM NIE BOJĘ SIĘ,
CZY KTOŚ UZNA, ŻE NOWY KLEKS
JEST WYSTARCZAJĄCO DOBRY*

Kiedy ogłoszono, że w postać pana Kleksa wcieli się Tomasz Kot, media i internet przyjęły tę decyzję z wielkim entuzjazmem. Spodziewał się pan tego?

Spodziewałem się, że Tomek Kot się spodoba, ale nie spodziewałem się, że już na wstępie bez oglądania filmu. To mnie bardzo ucieszyło, bo to duży handicap. Ale z drugiej strony zmarło, bo to buduje ogromne oczekiwanie. A z nimi ciężko jest zwyciężyć. Lepiej by było, gdyby wszyscy poszli do kina i zobaczyli doskonałą grę Tomka, a nie z góry zakładali, że ona musi być doskonała, a dopiero potem poszli do kina. To drugie jest zawsze trudniejszą sytuacją. Ale jestem spokojny. Mam tę przewagę, że już film widziałem, w związku z czym nie boję się, czy ktoś uzna, że nowy Kleks jest wystarczająco dobry.

Jak narodził się pomysł, by to Tomasz Kot został nowym Kleksem?

Bardzo szybko i naturalnie. Wpadliśmy na to obaj z moim współnikiem Tomkiem Wardynem, z którym produkujemy ten film. Zastanawiając się, kto mógłby być następcą Piotra Fronczewskiego, który ze względu na wiek nie mógł już zagrać tej roli, Tomek Kot był naszym pierwszym wyborem. Dlatego też nie prowadziliśmy żadnych szerokich castingów. Po prostu umówiliśmy się z Tomkiem na spotkanie - i od razu zaczęliśmy z nim rozmawiać o filmie.

I jak się panu z nim pracowało?

Doskonale. To profesjonalista w każdym calu, znakomity aktor, świetnie przygotowany. Za każdym razem wnosił na plan nie tylko wewnętrzną gotowość na to, co się na nim wydarzy, ale też umiejętność improwizowania i swoje własne pomysły. Praca z nim była czystą przyjemnością.

Jak sobie Tomasz Kot radził z tłumem dzieci?

Bez problemu. Przecież on jest tatą dwójki dzieci. W związku z czym ma wprawę. Każdy, kto ma dziecko, wie, że jego życie dzieli się na ten czas, zanim został rodzicem, i ten czas, kiedy już nim jest. Kiedy dziecko przychodzi na świat, człowiek zaczyna powoli je zauważać, dostrzegać jego potrzeby i komunikować się z nim. Dlatego myślę, że trudno byłoby zagrać Kleksa komuś, kto nie wychowywał nigdy dziecka i nie spędzał z nim czasu. Poza tym Tomek jest wrażliwym i ciepłym facetem, który dostrzega innych, jest empatyczny i uważny. To jest wszystko, czego dzieci po-

trzebują. Jeśli jesteś dobrym człowiekiem i je zauważasz, chce ci się do nich podejść i z nimi porozmawiać, bo masz na tyle cierpliwości, to wystarczy twoich doświadczeń życiowych, by się nimi zainspirować.

W filmie pojawi się również Piotr Fronczewski, który właściwie nigdzie już nie występuje ze względu na swój wiek. Jak się panu udało go przekonać?

Przed wszystkim wysłuchałem go, jakie on ma spojrzenie na tę sytuację: czego od nas oczekuje, czego się obawia i jak chciałby, aby nasza współpraca wyglądała. Myślę, że dostrzegł w moich oczach chęć kooperacji i sprostanie jego wymaganiom. Zrozumiał, że czekają go wyjazdy i przeloty, a przecież jest na takim etapie życia, że podróże i przygody nie są już jego codziennością. Znaleźliśmy więc kompromis i ułożyliśmy tak plan, że było to możliwe. Na szczęście zdjęcia rozciągały się na kilka miesięcy. Piotr zobaczył, że stajemy na wysokości zadania i bierzemy jego potrzeby pod uwagę. Zaufał mi wtedy - i łatwiej było mi namówić go do tego, aby tę jego rolę bardziej rozbudować. Dzięki temu Piotr zagrał w dwóch z trzech części trylogii, jaką jest „Kleks”. To wyczerpuje jego postać.

Jak wybraliście Antoninę Liwiniak do roli Ady Niezgódki?

Antonina to absolutne zjawisko. W mojej dość krótkiej jednak karierze filmowca, miałem okazję pracować z tuzami polskiego aktorstwa. I żaden nie zaskoczył mnie tak bardzo jak Tosia. Mimo młodego wieku, ma ona wszystkie cechy, które sprawiają, że jej grę można określić jako super przygotowaną i profesjonalną. Potrafi bez problemu dublować, powtarzać emocje, interpretować. Jest trafna w stu procentach. Zdjęcia z dziećmi to duże wyzwanie dla reżysera - a ja już po kilku tygodniach pracy na planie wiedziałem, że jak mam sceny z Tosią, to mogę być spokojny. Dzieci są ruchliwe, rozkojarzone, więc rzeczy, które trwają zazwyczaj krótko, z nimi się przeciągają. A tutaj Tosia grała tak, iż mówiąc, że pracowało mi się z nią jak z dorosłą aktorką, to tak jakbym nie powiedział nic. Szliśmy na plan i wiedzieliśmy, że jest z nami zawodowiec, który świetnie poradzi sobie z każdą sceną. Wszyscy obdarzyliśmy więc ją wielkim zaufaniem. To budowało super atmosferę. Tosia jest jedynką w tym filmie - i świadomość, że ma się taką osobę na froncie, budziła duży spokój.



FOT. MATERIAŁ PRASOWY/ ANNA WŁOCH

Maciej Kawulski z Tomaszem Kotem (grającym Pana Kleksa) na planie filmu

Tosia występuje we wszystkich trzech częściach?

Tak – będzie we wszystkich trzech. Z tym, że na razie nakręciliśmy dwie. Można powiedzieć, że gdyby ten film nosił tytuł „Harry Potter”, ona byłaby postacią tytułową.

Jak wspominaliśmy, ma pan w dorobku wyłącznie filmy dla dorosłych. Nie miał pan wątpliwości, by podjąć się reżyserii „Kleksa”?

Miałem. Wahałem się długo, czy to jest kino dla mnie, ale ostatecznie zaryzykowałem, bo uznałem, że warto.

W jednym z wywiadów powiedział pan: „Kleks to moje odkupienie”. Co to oznacza?

Do tej pory miałem wrażenie, że filmy, które robiłem, są w jakimś sensie „brudne”, bo jest w nich, pomimo wszystko, dość dużo ciemnej strony natury człowieka. I nagle przyszło mi opowiedzieć historię, która jest przepiękna, o wyobraźni i nadziei, o młodych ludziach, którzy już niebawem będą tworzyć nasz świat, nową ziemię. I nie tylko o nich, ale też dla nich. Traktuję to jako najpiękniejszą przygodę w swoim życiu.

Ma pan syna w wieku bohaterki filmu. Służył panu radą podczas realizacji „Kleksa”?

Był moim cenzorem w drobiazgach. Oczywiście musiałem czasem ten fokus ustawiać szerzej, bo jeden chłopiec to za mało. Ale tak – był moim pierwszym recenzentem. Kiedy miałem jakieś wątpliwości, czy coś jest śmieszne lub straszne, to najpierw testowałem to na nim.

Powiedział pan też, że dzięki „Kleksowi” odnalazł w sobie wewnętrzne dziecko. To pozwoliło panu znaleźć lepsze porozumienie z synem?

Myślę, że tak. Ale „Kleks” zabrał też mnie na bardzo długo z jego życia. Pewnie ja mogłbym powiedzieć, że dziś lepiej dostrzegam potrzeby syna, bo koncentrowałem się na dzieciach przez długi czas. Natomiast gdyby zapytać jego, toby stwierdził, że od kąd pojawił się Kleks, to tata jest rzadziej w domu. Zawsze punkt widzenia zależy od punktu siedzenia. Również ta sytuacja jest dwuznaczna. Ale czuję, że dzięki temu filmowi złapałem kontakt ze swym wewnętrznym dzieckiem i znalazłem sposób na odpowiedzenie sobie na setki pytań, które musiałbym zadawać komuś innemu na planie. A tak – mogłem zadawać je sam sobie. O to, co mnie śmieszyło, kiedy byłem dzieckiem lub co by mnie

dziś śmieszyło, gdybym nim był teraz.

Wielu dorosłych, którzy oglądali „Przygody pana Kleksa” te 40 lat temu, wspomina, że najbardziej przerażającą sceną z tego filmu był marsz wilków z podkładem grupy TSA. W pana filmie też będą takie sceny rodem z horroru? Nie wiem, kiedy ostatnio widział pan tę scenę. Bo we współczesnych dzieciach może ona jedynie wzbudzić śmiech. Dzisiaj, żeby przestraszyć kilkulatek, trzeba naprawdę dużo więcej. My oczywiście nie przesadzamy, bo celem „Kleksa” nie jest straszyć. Celem naszego filmu jest rozbudzać wyobraźnię i dać wiarę, że warto marzyć, bo dzieci same mogą napisać najlepszą bajkę swego życia. Natomiast myślę, że realizm scen w obecnym „Kleksie” jest o niebo większy niż tych sprzed czterdziestu lat.

Dużo zdjęć powstało z wykorzystaniem efektów specjalnych?

Bardzo dużo. Myślę, że jeśli chodzi o efekty specjalne, to jest największy projekt w tej części świata.

Jakie sceny były najtrudniejsze?

Proszę sobie wyobrazić, że cały świat Akademii pana Kleksa, do której przenoszą się dzieci, tak naprawdę nie istnieje. My ustalaliśmy tylko pewne lokacje – a reszta powstawała w komputerze. Pewnie więc to były najtrudniejsze i najbardziej czasochłonne elementy tej produkcji. Sporo wysiłku wymagało od nas też wykreowanie pewnych postaci, które w rzeczywistości nie istnieją, lub przenoszenie aktorów w obszary, w których człowiek na co dzień się nie znajduje. Wiele było trudnych zadań przed nami. Dlatego nie chciałem tu wyznaczać jednej sceny jako najtrudniejszej. Tym bardziej, że najtrudniejsza to wcale nie oznacza, że najdłużej nad nią pracowaliśmy. Na pewno generalnie to był trudny film.

Kręciliście również poza Polską, w Norwegii czy w Bułgarii. Z czego to wynikało?

Z wielu przyczyn. Po pierwsze szukaliśmy pięknej przyrody, która na północy jest o wiele bardziej wyrazista niż u nas w kraju. Poza tym, wiele działań studyjnych wykonywaliśmy w różnych częściach świata, bo w Europie studia filmowe nie są skondensowane, jak w USA w jednym mieście czy regionie.

Stąd wiedzieliśmy, że pewne zdjęcia najlepiej robi się w Bułgarii, a inne – w Niemczech. Realizując dwie duże produkcje, trzeba było korzystać ze wszystkich dobrodziejstw, które są w całej Europie i nie tylko.

Ma pan stałego operatora Bartosza Cielicę. Pracowaliście razem przy wszystkich pana dorosłych filmach. Sprawdzał się też przy dziecięcym?

Bartek dopiero tu się sprawdził tak naprawdę, bo ma ogromne doświadczenie przy reklamowych produkcjach, w związku z czym jego wiedza o styku kamery z komputerem bardzo się nam przydała. Bartek mnie wspierał – wręcz pokazywał palcem pewne możliwości i rozwiązania, o których nie wiedziałem. Dlatego pytanie nie powinno brzmieć, czy on się sprawdził, ale czy ja się sprawdziłem.

I jaka jest na nie odpowiedź?

To pan mi powie za kilka dni po premierze (śmiech).

Podobno lubi pan sam montować swe filmy. Tu też tak było?

Wszystkie moje filmy montuję w duecie z Marcinem Drewnowskim. Do tego mam manierę montowania już na planie. To znaczy bardzo szybko widzę, jak powinna być zmontowana scena, do której zwykle mam już wybraną muzykę. W efekcie wchodzę do studia z gotowym pomysłem na rytm i styl sekwencji. W porównaniu z moimi kolegami, pracuję więc trochę niestandardowo. Montaż jest dla mnie niezwykle istotnym elementem filmu. Tak, jak zresztą wszystkie pozostałe elementy produkcji. Ciężko mi uwierzyć, że są reżyserzy, którzy oddają nakręcony przez siebie materiał obcym ludziom, z którymi nie gadali koncepcji filmu – i pozwalają im na montowanie. Dla mnie rytm filmu i pewien nerw, który widoczny jest w każdym ujęciu, to podstawa. Dlatego moim zdaniem montaż jest niekiedy wręcz bardziej istotny niż pobyt na planie.

Skąd pomysł, by „Kleks” był trylogią?

Jan Brzechwa napisał trzy książki o tym bohaterze. Gradowski zrobił według swojego pomysłu jeszcze „Pana Kleksa w kosmosie”. Nasza „Akademia pana Kleksa” to wprowadzenie, a potem zabieramy widzów w kompletnie inny obszar. Dopiero obejrzenie wszystkich trzech części zamknie wszystkie wątki, niesamowicie od samego początku skrzętnie przygotowane. Już w pierwszej części widzowie zobaczą, że pewne przestrze-

nie nie są zamknięte. Mało tego: pod koniec pierwszej części otwierają się już nowe obszary, o których wcześniej nic nie wiedzieliśmy.

To przypomina budowanie fikcyjnych światów na wzór „Gwiezdnych wojen” czy opowieści Marvela lub DC Comics o superbohaterach. To wymóg nowoczesnego kina dla dzieci?

Tego nie wymyślił Marvel czy DC Comics. Tolkien napisał trylogię „Władcy pierścieni” wiele lat temu – i wiadomo było, że tej historii nie da się opowiedzieć w jednej części. Z kolei „Gra o tron” Martina jest kilkutomową sagą, którą filmowcy podzielili na krótsze odcinki. Taki sposób opowiadania nie jest więc nowy. Marvel wniósł jedynie pewną otwartość tych światów – to, że można w nie ingerować, że one żyją i „pracują” poza filmem. Fajnie jest, kiedy widzowie rozumieją bohaterów i za nimi podążają, dzięki czemu powstaje całe uniwersum z nimi związane. I jeśli miałbym powiedzieć, że coś z amerykańskich produkcji Marvela czy DC Comics stało się dla nas ważne – to właśnie to. Spróbowaliśmy stworzyć taki świat, który jeśli ktoś pozna, to będzie chciał do niego wracać i przeżywać tworzone w nim nowe historie.

Co będzie dla pana ważniejsze po premierze: opinie dzieci czy to, co napiszą krytycy?

Jeżeli zna pan mnie choć trochę, to wie pan, że robię filmy tylko dla widzów, a nie dla krytyków. Oni nigdy nie byli dla mnie mili i podejrzewam, że tym razem będzie podobnie. Tym bardziej, że dotknąłem filmu, który budzi wiele oczekiwań u dorosłych, ponieważ przypomina im przeżycia z dzieciństwa. Jestem jednak na to gotów. Mam świadomość, że każdy krytyk w tym kraju wie lepiej ode mnie, jak zrobić „Kleksa”. I tego im życzę – czasem warto przestać oceniać innych, tylko zrobić coś swojego. Proponuję zacząć od „Kleksa”.

Wyreżyserowanie „Kleksa” jakoś pana zmieniło?

Wszystko mnie zmienia. Każdy dzień, każdy oddech. A to było niesłychane przeżycie. Coś tak dużego i ważnego, że chciałbym powiedzieć, że to mój życiowy „game changer”. I chyba nie skłamię, jeśli tak zrobię.

Pana następny film będzie dla dorosłych czy dla dzieci?

Zobaczymy, jak to się wszystko ułoży. Następna będzie trzecia część „Kleksa” – więc dla dzieci. Aczkolwiek w tym roku mam zamiar zacząć też zdjęcia do swojego kolejnego filmu dla dorosłych.

Słownik: agnat, tainan, ulena

ROZWIĄZANIE: KŁOTNIA – DIALOG W RÓŻNYCH TONACH.